

Kazimierz Z. Poznański

**OBŁĘD REFORM
WYPRZEDAŻ POLSKI**

NOTA WYDAWNICZA

Oddajemy do rąk Czytelników książkę autora, który choć mieszka poza granicami Polski, uważnie śledzi wydarzenia w kraju.

Kazimierz Z. Poznański, bo o nim mowa, jest profesorem University of Washington w Seattle, na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Doktoryzował się na Wydziale Ekonomii Uniwersytetu Warszawskiego, a w 1979 r. wydał w PWN swoją pierwszą książkę: *Innowacje w kapitalizmie*.

W 1980 r. Woodrow Wilson School, Princeton University przyznała mu roczne stypendium.

W 1981 r. zaczął wykładać ekonomię na Cornell University, Ithaca, w stanie Nowy York. Rezultaty jego badań z tego okresu zostały włączone do dwóch analitycznych opracowań Kongresu Stanów Zjednoczonych (pierwszy przypadek udziału polskiego ekonomisty w tej prestiżowej publikacji). Wykładał ekonomię również na Northwestern University w Evanston. Jako stypendysta Hoover Institution prowadził prace badawcze w Stanford University (Kalifornia). W 1987 r. opublikował na University of California - Berkeley książkę pt. *Technologia i konkurencja: Blok sowiecki w gospodarce światowej*. W 1992 r. wydał pracę zbiorową pt. *Konstruowanie kapitalizmu*, jedną z pierwszych publikacji nt. transformacji postkomunistycznej (m.in. współautorzy Kołakowski oraz Kornai). W 1997 r. nakładem Cambridge University Press wydano jego książkę *Przewlekła transformacja: Zmiany instytucjonalne a wzrost gospodarczy w Polsce, 1970-1994*. Jako profesor University of Washington organizował coroczne konferencje naukowe nt. transformacji z udziałem polskich i amerykańskich ekonomistów. Wyniki zebrał w dwóch książkowych edycjach

(m.in. *Prywatyzacja oraz stabilizacja w Polsce*, wydana przez Kluwer Academic Press, z udziałem Sachsa oraz McKinnona). Od 1996 r. jest współredaktorem głównego amerykańskiego periodyku poświęconego sprawom Europy Wschodniej: „East European Politics and Societies”. Zamieścił ponad trzydzieści artykułów naukowych w periodykach amerykańskich i brytyjskich. W 2000 roku wydano po polsku jego książkę *Wielki przekręt. Klęska polskich reform*, która znalazła się na krajowej liście bestsellerów. Książka jest przygotowywana do angielskiego tłumaczenia pod tytułem *Globalne iluzje: Wywłaszczenie Europy Wschodniej*. Gotowa do druku na rynku amerykańskim jest jego książka: *Śladami Poppera: Zbiorowa obojętność i upadek społeczny*.

Wydawnictwo nasze daje możliwość wypowiedzenia się autorowi w książce, wobec której trudno przejść obojętnie. Prezentowane analizy ekonomiczne, ocena polskich reform, wreszcie wnioski autora, wielu mogą zaskoczyć lub szokować, dla innych będą potwierdzeniem przypuszczeń, że coś w kierunkach naszych reform i dostosowania się Polski do Europy jest nie tak.

Pracę tę traktujemy jako kolejny, ważny głos w dyskusji o polskich sprawach.

A oto co pisze sam prof. K.Z. Poznański. „Niniejsza książka jest napisaną od nowa pracą zbudowaną na schemacie mojej poprzedniej książki *Wielki przekręt. Klęska polskich reform*. Minęło kilka miesięcy od ukazania się tamtej książki, mojej pierwszej publikacji po polsku od dwudziestu lat.

Jej sukces był dla mnie sporym zaskoczeniem. Obawiałem się, że moja skrajnie krytyczna ocena zmian ustrojowych w gospodarce zrazi czytelników. Książkę sprzedano jednak w niespotykanym - jak na ten gatunek - nakładzie dwudziestu kilku tysięcy egzemplarzy. Niestety nie znalazła ona uznania w głównych ośrodkach opiniotwórczych, w tym akademickich. Odnieść można wrażenie, że polscy naukowcy w zasadzie uznali książkę za niewygodną, gdyż przez całą dekadę głoszą pochwałę reform, które ja opisałem jako klęskę. Oczywiście nie należy zbyt dużo oczekiwać po jednej książce, ale można się pocieszyć, że stała się przynajmniej przedmiotem konwersacji w tych kręgach. Ukazało się mnóstwo recenzji, tyle, że wysokonakładowa prasa albo całkowicie przemilczała książkę albo odniosła się do niej z wyjątkową zjadliwością. Miałem też kilka zaproszeń do telewizyjnych oraz radiowych dyskusji, które zawsze były bardzo burzliwe. Spotkałem się też z młodzieżą studencką, głównie w Krakowie i Warszawie. Dwukrotnie miałem okazję przedstawić swoje poglądy posłom na zaproszenie Sejmu. Odebrałem też obszerną pocztę elektroniczną od czytelników, którzy w większości zareagowali z dużą troską na moją krytykę reform. Dla nich, bierność ośrodków wpływu czy samych władz w sprawach poruszanych w książce musi być bardzo deprymująca. Uległem ich zachętom do dalszego penetrowania tematyki polskich reform. Postanowiłem przygotować nową pracę, która pomija drugorzędne wątki i proponuje równie krytyczną ocenę obecnych przemian ustrojowych z nadzieją, że spotka się z nie mniejszym zainteresowaniem. W tym celu musiałem też *znaleźć* nowego wydawcę, który obniżyłby ogromnie wygórowaną cenę nałożoną na poprzednią książkę. Ograniczony czas nie pozwolił mi na wykorzystanie w tej pracy wszystkich otrzymanych dotąd uwag. Te uwagi, a także zupełnie nowe materiały na temat reform oraz stanu gospodarki, uwzględniam w mojej najnowszej książce, już w połowie zakończonej. Nadałem jej tytuł *Ostatnie wybory: rozkład państwa polskiego*.”

WPROWADZENIE

Transformacja ustrojowa ruszyła szybko, tyle, że równie szybko doszło do katastrofy, najpierw w formie gwałtownej recesji, a potem półdarmowej wyprzedaży majątku na rzecz obcych inwestorów.

Minęło raptem nieco więcej niż dziesięć lat od chwili, gdy uwolniona od komunizmu Polska wpadła w obłęd reform, których zadaniem miało być stworzenie kapitalizmu. Tylko w obłędzie możliwe było, żeby budując „wyższy” kapitalizm, wdrożyć system, który nie dorównuje temu, co zostawił „niższy” komunizm. Wsparte żarliwą propagandą, nieudane pomysły reform trafiają do realizacji bez żadnych prób zastanawia się nad ich katastrofalnymi konsekwencjami dla gospodarki.

Istotę tych przemian ustrojowych najlepiej oddaje określenie „wielki przekręt”, gdyż w trakcie próby budowy kapitalizmu po komunizmie doszło do półdarmowej wyprzedaży większości narodowego majątku obcym inwestorom. Ten konkretny aspekt zmian ustrojowych, które toczą się wieloma torami naraz, jest najważniejszy przy ocenie dziesięciolecia po upadku komunizmu. Dziesięciolecie, w którym nastąpiło bezprecedensowe ogołocenie narodu z jego majątku. Popularna wśród kręgów, które określają się jako liberalne, opinia, że kapitał sprzedano bardzo tanio i do tego w obce ręce, bo waliła się w gruzy pozostawiona przez komunizm gospodarka, jest niepoważna. Polska znalazła się bowiem w głębokiej recesji nie przed reformami, ale dopiero gdy te reformy zostały podjęte, czyli po 1990 roku. Co więcej, gospodarka weszła w zapaść dokładnie, dlatego, że państwo porzuciło potrzeby produkcji na rzecz wyprzedaży majątku.

Do sprzedaży pozostającego w gestii państwa majątku narodowego prawie za darmo doszło, dlatego, że zagrożeni utratą swych posiadłości decydenci mieli mało czasu na ukartowanie przetargów. W tym pośpiechu, najbardziej przydatni okazali się obcy nabywcy, bardziej dyskretni w działaniu i zasobni finansowo niż ich krajowi konkurenci. Spośród obcych inwestorów wybrano z kolei tych, którzy byli skłonni do zaoferowania najwyższych tzw. prowizji w zamian za zaniżone ceny.

Wiem, że „przekręt” to określenie z ulicy, także może razić, ale mamy tutaj do czynienia z działaniami, które nie zasługują na bardziej wyszukany język. Zresztą, słowo to weszło do powszechnego użytku, kiedy zaczęły się obecne reformy ustrojowe, między innymi pod hasłem wyplenienia afer ery komunistycznej. Ówczesne afery gospodarcze, nawet potraktowane łącznie, nie umywają się jednak swoją skalą do „przekrętu” związanego z dokonaną prywatyzacją majątku państwa.

Nie byle, jaki to przekręt, w którym majątek banków i przemysłu jest upłynniany przez aparat państwa za około dziesięć procent jego aktualnej wartości. Pozostałe dziewięćdziesiąt procent wycieka oczywiście do nabywców za granicę, zamiast zasilić mocno wygłodzoną gospodarkę, którą zostawił po sobie stagnacyjny komunizm. Na taką to ogromną stratę narażono społeczeństwo, żeby zainkasować prowizje, stanowiące tylko mały ułamek wartości sprywatyzowanego kapitału. Również te dziesięć procent, które po „wielkim przekręcić” trafia do budżetu państwa, nie jest zużywane na pomnażanie produkcyjnego majątku. W sferze budżetowej ma miejsce mały przekręt, w wyniku, którego znaczna część przychodu przechwytywana jest na użytek prywatny (np. na niebotyczne pensje zarządów w ciągle jeszcze licznych państwowych spółkach, jak również w niedawno zreformowanych lokalnych samorządach czy też w nowo powołanych kasach chorych).

Przyszłość gospodarki wydaje się nawet bardziej przygnębiająca niż smutna teraźniejszość tej panicznej wyprzedaży. Polska skazuje się bowiem na coroczny wyciek zysków z kapitału, które, obok płac za pracę, stanowią główny składnik dochodu narodowego. Ponieważ zagraniczni właściciele przejęli komunistyczne monopole, mają warunki do dyktowania płac i wypompowywania zawyżonych w ten sposób zysków na skalę nawet dziesięć procent dochodu narodowego rocznie.

Łącznie, jednorazowe straty wynikłe z niedoszacowania sprzedawanego majątku oraz ciągle straty z tytułu wyprowadzanych zysków, wielokrotnie przerastają znikome prowizje zarobione przez decydentów na pośrednictwie. Chodzi, więc tutaj o „wielki przekręt” nie tyle ze względu na skalę osobistych korzyści odniesionych przez mniejszość decydującą o sprzedaży majątku, ile ze względu na rozmiary strat dla wyłączonej z procesu decyzyjnego większości społeczeństwa.

Pozbawiona zysków, należnych teraz zagranicznym właścicielom, gospodarka staje się kapitalistyczna, choć w

kraju zostają tylko dochody z pracy - czyli płace. Z obcym kapitałem i lokalną pracą, Polska staje się krajem, który niejako musi żyć z dnia na dzień, z „gołej” pensji. Możliwości zakumulowania własnego kapitału wyłącznie w oparciu o zarobki pracownicze są nikłe i równie małe są szansę na wyrwanie się z niefortunnej sytuacji, gdzie tylko praca jest własna. Dziś szukanie pracy

w bankach i fabrykach przypomina migrację za chlebem we własnym kraju, gdyż większość ich jest *zagraniczną* własnością. Zatrudnieni w ten sposób stają się jakby sezonowymi pracownikami nie w obcym kraju, ale we własnym. Przy normalnej emigracji zarobkowej, gdy jedzie się do zamożnego kraju jak np. Niemcy, można liczyć na wysokie płace. Przy wewnętrznej migracji trzeba zadowolić się niskimi, polskimi płacami, może nawet na zawsze.

Pierwszym wyraźnym sygnałem, na jak niewiele może liczyć lokalna praca jest obecna, druga z rzędu od chwili upadku komunizmu, recesja gospodarcza. Jak widać, fakt, że majątek trwały trafia głównie w obce ręce, to nie uchronił Polski od nowego wstrząsu, za który trzeba płacić nagłym wzrostem bezrobocia oraz płacową stagnacją. Gdyby starannie policzyć to bezrobocie, wyszłoby na to, że co czwarty lub, co piąty Polak zdolny do pracy znalazł się już bez pracy, oraz przeważnie bez żadnego zasiłku.

Mój język znowu może kogoś razić, tym razem z tego powodu, że trąci innym żargonem, nie z ulicy, ale raczej z katedry, tym marksistowskim. Wszak krytykuję kapitalizm, rozprawiając o płacach oraz zysku, czy o pracy oraz kapitale, jak to czynią w swych wywodach marksiści. Jest to jednak tylko czysto przypadkowa zbieżność, gdyż mnie, jako ekonomistę, nic nie łączyło z marksizmem ani wtedy, gdy był on jeszcze bardzo modny, ani też obecnie, gdy raczej wyszedł z mody.

Będąc z wykształcenia liberalnym ekonomistą wierzę w kapitalizm, tyle, że budzi mój niepokój wyłaniający się w Polsce zależny typ kapitalizmu bez własnych kapitałów i bez rodzimych kapitalistów, a więc swego rodzaju — jak go nazywam - „niekompletny kapitalizm”. Powinno być oczywiste, że jest to głęboki niepokój liberalnego ekonomisty, a nie marksisty, gdyż ten ostatni jest wrogiem zarówno kapitału jak i kapitalistów, bez różnicy, zarówno własnych jak obcych. Nikt poza - wywodzącą się z liberalizmu - szkołą ewolucyjną, w której dokładnie mieści się moje myślenie, z taką pasją nie podjął obrony kapitalizmu, również przed komunizmem, z jego ideą gospodarki bez rynków i własności. Szczególne zasługi miał w tym Hayek (1944), wskazując na praktyczną niemożność zrealizowania komunistycznego ideału. Schumpeter (1942) dowodził z kolei, że nawet gdyby komunizm dał się urzeczywistnić, to niewątpliwie byłby to regres.

Moje określenie siebie mianem liberalnego ekonomisty może zdziwić niektórych zadeklarowanych liberałów w Europie Wschodniej, w tym *znaczną* część polskiego środowiska intelektualnego, gdzie nie wypada być kimś innym. Nie zgadzają się na żadną, nawet umiarkowaną krytykę reform ustrojowych. Przeciwnie, egzaltują się swym, jak twierdzą, wielkim triumfem w budowie kapitalizmu. Ponoć szczęśliwie już zakończonej w większości krajów Europy Wschodniej.

Niewykluczone, że ta różnica w ocenie wynika stąd, że ich liberalizm wywodzi się nie z ewolucyjnej myśli, ale z nurtu, który nazywa się ekonomią neoklasyczną. Według mnie, przyczyny tych rozbieżności muszą być jednak inne, gdyż nawet posługując się neoklasycznymi kategoriami nie sposób przeoczyć ułomności polskiego „niekompletnego kapitalizmu”. To nie jest wcale sprawa tej czy innej tradycji liberalnej a raczej ich niechęci do nazywania rzeczy po imieniu.

Liberalizm, w żadnej postaci, nie wyklucza krytycznego spojrzenia na kapitalizm, gdyż ma bardzo wyraźną wizję „dobrych” instytucji. Liberalizm stoi tak samo murem za rynkami, jak i przeciw „złym” rynkom. Jest też w pełni świadom tego, że nie każda własność prywatna jest z definicji „dobra”. Podstawowym kryterium oceny jest stopień wolności gospodarowania, której to wolności nie da się nijak oderwać od swobody zawierania umów i od własności zasobów kapitału. Liberalizm,

w tym szkoła ewolucyjna, zakłada, że wolność nie wyczerpuje wymogów właściwie rozumianego kapitalizmu; należy do nich też pewien system moralny. Instytucje, takie jak rynek czy własność, nie są bowiem darem natury, ale są ludzkimi wynalazkami, tworzonymi w zgodzie z obowiązującymi regułami moralnymi. Będąc produktem tych reguł, otwarte rynki oraz prywatna własność, czyli kapitalizm, są tym silniejsze, im solidniejsze są te moralne podstawy.

Ponieważ żywotność kapitalizmu wyrasta z szerokiego zasięgu własności, zrozumiała jest liberalna - również moralna - negacja feudalizmu, w którym kapitał - ziemia - był w rękach niewielu. Stąd też liberalne potępienie komunizmu, w którym liczy się nie tyle własność ziemi, co *raczej* kontrola nad maszynami jako kapitałem. W warunkach agrarnego feudalizmu zakres własności kapitału ogranicza się do arystokracji, a w przemysłowym

komunizmie do kadry partyjnej.

Jednocześnie, ze względu na taką wąską bazę posiadania, w obydwu tych systemach siła robocza znajduje się w sytuacji faktycznego poddaństwa. Z racji ich szczególnej pozycji, tak feudalna arystokracja jak i komunistyczna partia, przypisują siłę roboczą do miejsca pracy i narzucają jej niekorzystne warunki wynagrodzenia. A zatem, mamy do czynienia z dwoma swego rodzaju formami poddaństwa, czy ekonomicznej zależności; jedna jest tradycyjna, a druga nowoczesna.

Jeśli się przyjrzeć Europie Wschodniej po komunizmie, to rodzą się wątpliwości, czy obecna zmiana ustrojowa to nie jest przypadkiem kolejna, obok komunizmu, nowoczesna „droga do poddaństwa”. Przez zamianę aparatu partii na obcych rezydentów, jako prawie wyłącznych dysponentów kapitału, nie poszerza się wąska baza własności. Nowi właściciele, z ich uprzywilejowaną pozycją ekonomiczną, dalej mogą dyktować warunki zatrudnienia i wynagrodzenia lokalnej pracy. Komunizm obiecywał wolność, ale dał poddaństwo dla ogółu rządzonych, podobnie jest z polskim postkomunizmem, tyle, że z jedną kardynalną różnicą. A to, dlatego, że teraz - po utracie tytułu własności do większości zasobów - podcięta została baza wolności tak dla rządzących jak i rządzonych. Nie chodzi, więc tylko o to, że mamy do czynienia z inną drogą do poddaństwa. W grę wchodzi, bowiem droga do większego poddaństwa, co nadaje zupełnie inny wymiar klęsce reform.

W kontekście tych przemian własnościowych może nasunąć się jeszcze bardziej zatrważająca myśl, mianowicie, że w „niekompletnym kapitalizmie” nie chodzi już wcale o relacje poddaństwa między dwoma odłamami obywateli narodu polskiego. Tu wchodzi w grę relacje między Polakami, właściwie bez własnego kapitału, oraz innymi narodami, które ten kapitał w większości przejęły. Istotą przemian ustrojowych nie jest, więc wcale uwolnienie narodu, ale jego zniewolenie.

Prawdziwe znaczenie tych zmian w gospodarce, w jej systemie instytucji, będzie dopiero w pełni docenione, kiedy chora gospodarka znajdzie już wyraz w chorej polityce. Z gospodarką głównie w rękach zagranicznych można oczekiwać, że polityka też przejdzie w ręce zagraniczne, gdyż nie da się oderwać polityki od gospodarki. Wtedy raczej trudny do ogarnięcia fakt pozbawienia narodu jego kapitału znajdzie już przełożenie na bardziej namacalny bieg życia politycznego.

Znajdą się, bowiem partie czy platformy, które przystosują się do odmienionej rzeczywistości wiążąc swój los z obcym kapitałem. Najłatwiej to przyjdzie tzw. liberalnym ośrodkom, których działania pozwoliły obcemu kapitałowi wykluczyć z gry polski kapitał. Mając na myśli wszechobecny obcy kapitał, wystąpią na niby w obronie nieobecnego polskiego kapitału. Dokładniej, w imię nieobecnej polskiej klasy kapitalistycznej, będą żądać zdławienia płac polskiej siły roboczej.

CZĘŚĆ PIERWSZA

WYMYŚLONY POSTĘP

Przejmowanie fabryk czy banków przez, zagranicznych właścicieli jest dzisiaj w świecie czymś normalnym, ale nie sposób uznać za normalne przejmowanie całej gospodarki jakiegoś kraju, a tym bardziej za póldarmo. Tak się niestety stało w Polsce, gdzie zamiast uratować dla przyszłych pokoleń to, co zostało z komunizmu - zmarnowano ten spadek.

W zamian za niewygórowane prowizje, właściwie napiwki, decydenci upłynnili kapitał za ułamek jego prawdziwej wartości. W ten sposób słaba gospodarczo Polska, cierpiąca na brak kapitału, została w zasadzie pozbawiona własnego kapitału. Nikt oczywiście nie zdemontuje fabryk i banków by wywieźć je za granicę. Dla co poniektórych stanowi to wystarczający powód, żeby nie martwić się o przebieg polskiej prywatyzacji. Chyba nie zdają sobie sprawy, że przez wyprzedaż tego majątku w obce ręce nastąpił masowy wywóz legalnych tytułów do przynależnej im własności. Tym samym wywieziono prawa do przejmowania zysków, które przynosi sprzedany przez państwo kapitał. Można by się ciągle pocieszać, że przez taką wyprzedaż ściągnięto bardziej doświadczonych kapitalistów z zagranicy. Ale można było ich zdobyć w inny sposób, taki, który nie wykluczyłby jednoczesnego stworzenia silnej własnej klasy kapitalistycznej. Gdyby obcy kapitał napłynął w formie budowy nowych fabryk czy zakładania nowych banków zagranicznych, Polska też uzyskałaby dostęp do większego doświadczenia, jakie reprezentują zagraniczni właściciele. Co więcej, zamiast wyprzedawać zastany kapitał obcym inwestorom uzyskano by dodatkowy kapitał, należy przypuszczać, że z techniką doskonalszą niż krajowa. Państwowy kapitał można by wtedy sprzedać rodzącej się lokalnej klasie kapitalistycznej, żeby ona zadbała o jego niezbędną techniczną modernizację. Sprzedając kapitał obcym oddano prawo do zysków jako ważnej części dochodu narodowego, za bardzo marne opłaty oraz bez jakiejś większej nadziei na trwałe przyspieszenie produkcji przez jej dynamiczną modernizację. Nazwanie tego porażką byłoby zbyt łagodne, to jest właściwie katastrofa. W ten sposób po komunistycznej katastrofie przyszła zaraz postkomunistyczna. Poprzednie niepowodzenie głęboko wryło się w zbiorową psychikę ludzi, ale obecne dopiero zaczyna powoli docierać do świadomości polskiego społeczeństwa.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

WYWŁASZCZENIE NARODOWE

Właściwie żaden ważniejszy aspekt obecnej polskiej transformacji ustrojowej nie został dotąd poddany jakiegóż rzetelnej analizie ekonomicznej, bo jest to niestety prawie całkowicie „niema” transformacja.

Ponieważ znajomość faktów jest słaba, mało kto sobie uświadamia, że skutkiem reform nie jest zwykły kapitalizm. Jeśli przyjąć za normę Europę Zachodnią, to stosunki własnościowe w zreformowanej Polsce są zupełną dewiacją. Ci, którzy to dostrzegają, są zwykle zdania, że Polska nie miała innego wyjścia. Mówią tak zupełnie niepomni, że to zdyskredytowany dzisiaj marksizm uzasadniał bezsensowne systemowe koncepcje odwołując się do przeróżnych „historycznych konieczności”.

Niespełnione zamierzenia

Nie ma kapitalizmu bez prywatnej własności, więc reformy zaczęły się od dylematu, w jaki sposób w prywatne ręce przekazać olbrzymi majątek państwa; czy w drodze rozdawnictwa obywatelom czy też przez sprzedaż indywidualnym inwestorom. Zwolennicy darmowej dystrybucji powoływali się na brak prywatnych oszczędności, z których można by opłacić zakup kapitału. Na rzecz sprzedaży miał przemawiać fakt, że tylko w ten sposób majątek trafi w najlepiej przygotowane ręce.

Pomysły rozdawnictwa nie znalazły w Polsce większego uznania wśród reformatorów. Wybrano rynkowy, jak się wydawało, wariant - sprzedaży bezpośrednio lub przez tzw. ofertę publiczną, czyli giełdę. Tym kanałem miały być upłynniane większe obiekty, dla mniejszych otwarto tzw. likwidację przez ratalny wykup. Z myślą o stworzeniu warstwy kapitalistycznej uznano, że we wszystkich przypadkach główny strumień akcji zostanie skierowany do inwestorów wewnętrznych.

Chociaż majątek państwa miał być sprzedany głównie krajowcom, to jednak, gdy ruszyła pierwsza transza, w latach 1990-1992, większość specjalnie wyselekcjonowanych obiektów trafiła do zagranicznych właścicieli. Podobno udzielono tych preferencji zagranicznym inwestorom, żeby przekonać obywateli do inwestycji. Być może manewr ten kogoś z obywateli przekonał, tyle, że sprzedaż w tym trybie dalej została skierowana prawie wyłącznie w zagraniczne ręce.

Dla ścisłości, w latach 1990-1992, w procesie prywatyzacji pojawiły się też załączki dużego krajowego kapitału, skupiające producentów z różnych branż w tzw. holdingi. Nie wynikało to z preferencji aktualnych władz, ale raczej było konsekwencją procesów, które zaczęły się już w ostatnim roku rządów Rakowskiego. Przez jakiś czas krajowe holdingi wchłaniały nowe obiekty, ale w końcu same stały się przedmiotem zagranicznych przejęć (nawet tak dynamiczna grupa jak Elektrim).

Pod kontrolę zagraniczną przeszły też w końcu zasoby przekazane w 1995 r. na rzecz tzw. funduszy inwestycyjnych, wprowadzonych jako namiastka powszechnego rozdawnictwa. Obywatele otrzymali równe certyfikaty, które musieli następnie zamienić na udziały w jednym z funduszy restrukturyzujących przydzielone im przedsiębiorstwa. Po dwóch-trzech latach, fundusze skonsolidowały te udziały na tyle, by zacząć systematycznie wyprzedawać je zagranicznym inwestorom.

Efekty tej wielotorowej wyprzedaży, jeśli chodzi o przemysł, dały o sobie znać już w 1997 r., gdy obcy udział wyniósł 15 procent. Prawdziwa lawina wyprzedaży ruszyła w roku 1999. Stało się tak głównie, dlatego, że po raz pierwszy wystawiono do prywatyzacji sporo obiektów o bardzo dużej skali, polskie giganty. Na skutki nie trzeba było długo czekać, gdyż pod koniec 1999 r. udział obcego kapitału w przemyśle przekroczył 40 procent, a w 2000 r. doszedł do 50 procent.

Plany sprzedaży na najbliższe lata są niemniej ambitne, mają pójść resztki przejętej przez Francuzów telekomunikacji oraz energetyka, na którą ochotę mają zwłaszcza Niemcy. Nieprzerwanie szuka się też zagranicznych nabywców na huty stali oraz kopalnie węgla. Udział obcego kapitału może całkiem łatwo dojść do 60-70 procent przed rokiem 2003, gdy najprawdopodobniej nie zostanie już nic ważnego do prywatyzacji (może tylko jeszcze państwowe koleje).

Jeśli chodzi o banki, to na początku reform były one praktycznie wyłączone ze sprzedaży dla zagranicy; zmiana nastąpiła dopiero po sprzedaży Banku Śląskiego w 1994 r. W 1997 r., udział sektora zagranicznego

w bankowości wciąż jeszcze wynosił poniżej 20 procent. Ale już pod koniec 1999 r. kontrola *zagraniczna* banków, mierząc tzw. aktywami wyniosła 56 procent, a biorąc za podstawę obliczeń tzw. kapitał własny -65 procent, a obecnie, czyli w 2001 r., aż 75 procent.

Wolniej odbywa się przejmowanie sektora ubezpieczeniowego, gdyż dopiero w 1999 r. sprzedano pierwsze udziały państwowego monopolisty, PZU. Ale, zanim doszło do tej -wstrząsanej sporami - sprzedaży, udział zagraniczny już był pokaźny, przede wszystkim dzięki tworzeniu własnych sieci. Można szacować, że przed sprzedażą ten udział był w granicach 30 procent, tak, że po prywatyzacji PZU podniósł się on do 45 procent, z tym, że lada moment może się dalej podnieść. Podczas gdy w finansach - ubezpieczeniach i bankowości - pewna część obcych udziałów pochodzi z zakładania własnych sieci,

w przemyśle budowa zagranicznych fabryk pod klucz jest minimalna. Nawet w tak dynamicznej dziedzinie jak motoryzacja, powstała tylko jedna średniej wielkości wytwórnia w Gliwicach, General Motors. Główny producent, włoski Fiat, poprzestał na modernizacji Tych, a zbankrutowany Daewoo pozostawił na wpół rozgrzebane Żerań.

Owszem, napłynęły z zagranicy spore „świeże” inwestycje do Polski, ale głównie w sektorze handlu. Skala ich jest taka, że gwałtownie rugowana jest lokalna sieć handlu detalicznego, która przetrwała nawet czasy komunizmu. Jak dotąd, zagraniczni inwestorzy interesują się głównie supermarketami, które już w tej chwili zapewniają im około 25 procent całych obrotów. Przy obecnym tempie, handel zostanie niedługo zdominowany przez zagranicę tak jak przemysł czy finanse.

Tło regionalne

Patrząc na resztę Europy Wschodniej, rzucają się w oczy Węgry, najbardziej zaawansowane w wyprzedzaży *zagranicznej*. W 1999 r. zagranica miała pod swoją kontrolą 70 procent sektora bankowego, czyli całą jego finansowo zdrową część (Załącznik 1). W przemyśle udział ten też był już wtedy w 70 procentach zagraniczny, przy czym znowu poza zasięgiem obcych inwestorów znalazły się zakłady borykające się z trudnościami - utrzymywane przy życiu przez budżet.

Ścieżkę szybkiej wyprzedzaży za granicę przyjęły też były republiki bałtyckie, w tym zwłaszcza Estonia, gdzie udział obcego kapitału jest bliski 80 procent, tak w przemyśle, jak i w bankach.

W innych krajach bałtyckich - Łotwie i Litwie — udział ten w przemyśle jest niższy, ale w sektorze bankowym sytuacja jest podobna (przy czym większość kapitału bankowego w tych trzech krajach została przejęta przez dwa szwedzkie banki, niedawno zresztą połączone w jeden bank).

W krajach, w których prywatyzację oparto na kuponowym rozdawnictwie, przejmowanie zasobów przez zagranicę okazało się wolniejsze. Tak się stało w Czechach, choć zasoby przekazane na bezpłatny rozdział obywatelom równały się wartościowo tym wystawionym na sprzedaż. Mimo tych początkowych komplikacji, w 1999 r. obcy kapitał kontrolował 35 procent przemysłu oraz 45 procent bankowości, gdzie udział ten nagle podniósł się do 65 procent w 2001 r.

W Rosji, gdzie przyjęto za wzór czeski program, fabryki oraz banki zostały przejęte głównie przez kierownictwo oraz załogi, nie zostawiając nic dla większości obywateli. Główna część kapitałów została następnie wyprowadzona by zasilić biznesy krajowych tzw. oligarchów, wywodzących się z dawnej nomenklatury. Oligarchia musiała, choć tylko częściowo, wesprzeć się na zagranicy ze względu na nielegalny charakter bardzo wielu operacji (np. prania pieniędzy).

Gdy w Rosji wyłonił się swego rodzaju „nomenklaturowy kapitalizm”, w Bułgarii czy Rumunii - ale również na Ukrainie — była nomenklatura przejściowo utrzymała kontrolę produkcji, ale bez prawa własności. Słabsza od swych rosyjskich odpowiedników, nomenklatura także musiała ulec - od dwóch lat zaczęła się wyprzedzać. W Bułgarii i Rumunii, większość banków jest już przejęta przez zagranicę, a na Ukrainie, obcy, głównie Rosjanie, wykupują przemysł, zwłaszcza ciężki.

Szczególnie trudny, jeśli chodzi o zagraniczne przejęcia okazał się wariant przyjęty w byłej Jugosławii, gdzie postanowiono zmienić tzw. samorządowy model przez sprzedaż akcji pracownikom. Widać to w Serbii, gdzie dotąd właściwie brak obcego kapitału, a akcje znalazły się przeważnie w rękach załóg i dyrekcji. Z kolei, w Słowenii, gdzie prywatyzacja została właściwie zakończona, udział zagranicy w przemyśle jest w granicach 15 procent, a w bankach - 10 procent.

Chorwacja oraz Bośnia, stanowią przykład gdzie załamał się ten samorządowy model. Jeśli chodzi o samą Bośnię, to w wyniku wojny stała się ona międzynarodowym protektoratem, w ramach, którego dano

preferencje zagranicznym nabywcom, głównie w górnictwie. Podobnie stało się w Kosowie, a Serbia, jako przedmiot ataku, omal nie podzieliła losu swej prowincji. To może zabrzmieć drastycznie, ale tworzenie protektoratów jawi się jako alternatywna metoda prywatyzacji.

Najbardziej trudny dla inwestorów zagranicznych okazał się model Chin, gdzie po prostu nie doszło do prywatyzacji. Chiny uczyniły swoją gospodarkę nie mniej prywatną niż Europa Wschodnia, prawie wyłącznie przez zezwolenie własnym obywatelom na otwieranie biznesów. Te biznesy okazały się tak prężne, że zupełnie przyćmiły sektor publiczny, który utrzymano w dużym stopniu z pomocą zagraniczną, gdyż głównie tam zezwolono na zagraniczne inwestycje.

Wariant budowy kapitalizmu bez prywatyzacji był dostępny dla Polski jak i dla reszty Europy Wschodniej. Żadne czynniki ekonomiczne teoretycznie nie przemawiały za tym, że tylko Chiny mogły pójść tą drogą. Na pewno nie ma to nic wspólnego z tym, że Chiny są wielkie a Polska, czy inne gospodarki regionu, małe. Chętnie używają tego argumentu polscy tzw. liberałowie, choć oczywiście

w ekonomii liberalnej nie ma osobnych teorii dla małych i dużych gospodarek.

Wysuwa się też argument, że Chiny są inne, gdyż nie przechodzą politycznej transformacji. Ciągłe działa tutaj monopartia, nikt też o nic nie pyta rządzonych. Tyle, że w Europie Wschodniej też nie doszło do referendum w sprawie prywatyzacji, a zwłaszcza wyprzedaży za granicę. Co więcej, w odróżnieniu od Polski czy Czech władze chińskie nie starały się narzucić doktrynerskich programów. Mniej demokratyczne Chiny wybrały, więc bardziej demokratyczną drogę reform ekonomicznych.

Reszta świata

Wychodząc poza świat byłego komunizmu, można zacząć od gospodarki Irlandii, która stanowi ulubiony przykład tzw. liberałów. Ich zdaniem, wyjątkowo szybko rozwijająca się Irlandia to dowód na to, że strategia wyprzedaży zagranicę jest najbardziej racjonalna dla kraju, który, jak Polska, startuje do kapitalizmu z poważnym opóźnieniem. W Irlandii 40 procent kapitału przemysłowego jest obecnie w rękach zagranicznych, a w bankach ten udział wynosi nawet 50 procent.

Gdyby jednak przyjrzeć się średniej dla całej Unii Europejskiej, to obraz ten wygląda zupełnie inaczej. Udział obcego kapitału w przemyśle nie wykracza poza 15 procent (w Niemczech jest on poniżej 10 procent). W bankach stanowi on średnio tylko 13 procent (ale w Austrii - 4 procent, a w Niemczech niewiele więcej). W Hiszpanii oraz Portugalii, bardziej zbliżonych gospodarczo do poziomu rozwoju Europy Wschodniej, udział zagraniczny w bankach wynosi poniżej 15 procent.

Jeszcze większy kontrast można dostrzec w niebankowych finansach, jak np. w ubezpieczeniach.

W krajach unijnych w ubezpieczeniach dominuje własny kapitał, często publiczny. W Europie Wschodniej, w tym również w Polsce, bez najmniejszych przeszkód wpuszcza się obcy kapitał do tego sektora. Węgry zdołały już całkowicie pozbyć się własnych ubezpieczeń, a Czechy właśnie sprzedały obcemu inwestorowi swego państwowego monopolistę ubezpieczeniowego.

Prawdziwym ewenementem jest rynek emerytalny, który w Europie Zachodniej opiera się głównie na państwowych systemach składkowych. W Europie Wschodniej podobny system zastępowany jest przez tzw. chilijski model, w którym prywatne - otwarte - fundusze emerytalne inwestują wpłaty. Tak się stało w Estonii, na Węgrzech, a ostatnio - w Polsce, przy czym we wszystkich przypadkach nowo tworzone fundusze są głównie pod kontrolą zagranicznych inwestorów.

Tak wysokiej penetracji gospodarki przez obcy kapitał nie tylko nie można spotkać w Europie Zachodniej, ale nigdzie prywatyzacja nie została skazana na zagranicznych inwestorów. Nie została skazana z pewnością w Austrii, gdzie w trakcie zaczętej w końcu lat 60-tych masowej prywatyzacji żaden znaczący zakład czy bank nie został sprzedany zagranicznym nabywcom. Podobnie w Wielkiej Brytanii, na której to przykładzie ponoć oparli się dzielni polscy reformatorzy.

Prawie bez wyjątku, obcy kapitał musiał budować obiekty i sieci od podstaw, także w Irlandii, gdzie, jak podałem, obcy udział własnościowy w bankowości jest bardzo wysoki, tyle, że zagraniczne banki powstały prawie wyłącznie z nowych inwestycji. Stare irlandzkie, w sensie własności, banki dalej, więc obracają głównie lokalnymi oszczędnościami, natomiast napływowe zagraniczne instytucje finansowe pracują głównie na wkładach, które napływają z zagranicy.

W średniorozwiniętej, podobnie jak Polska, Turcji, obcy kapitał też kierowany jest nie na wykup, ale głównie w budowę nowych obiektów. Przez ostatnich dziesięć lat tureccy inwestorzy nabyli 85 procent prywatyzowanego

majątku. Skorzystały zwłaszcza rodzinne konglomeraty, łączące produkcję i sprzedaż z finansami. Daje to im kontrolę nad całą gospodarką do tego stopnia, że są w stanie dosyć skutecznie tamować ewentualną inwazję zagranicznego kapitału.

Jeśli chodzi o pozaeuropejskie kraje średniorozwinięte to sytuacja w Europie Wschodniej różni się też od krajów Azji Wschodniej. W Korei Południowej udział obcego kapitału w przemyśle czy bankach nie przekracza 5 procent. Podobnie jak na Tajwanie, gdzie np. w bankach jest 4 procent obcego kapitału, a blisko 60 procent należy ciągle do państwa. W Malezji rola obcego kapitału w bankach jest większa - na poziomie 17 procent, a najwyższa chyba na Filipinach - 35 procent.

Trendy, widoczne w Europie Wschodniej, są natomiast bardzo zbliżone do zmian w Ameryce Łacińskiej, gdzie od lat trwa masowa prywatyzacja, w tym w bankowości. Np. w Brazylii, w wyniku prywatyzacji, obcy udział wynosi na razie 15 procent, ale rośnie; w Meksyku jest on bliski 35 procent, podobnie zresztą jak w Chile. W Argentynie odpowiedni udział osiągnął już 40 procent, a w Wenezueli, ostatnio, zaledwie po dwóch latach prywatyzacji banków, aż 55 procent.

Silne podobieństwa można też znaleźć w sferze ubezpieczeniowej, oraz w dziedzinie emerytur. Dotyczy to zwłaszcza Chile, gdzie 50-60 procent zasobów funduszy jest kontrolowane przez zagranicznych udziałowców, przy czym narzuty za obsługę premii sięgają 25 procent. Zagraniczny kapitał ma kontrolę nad 30 procentami rynku emerytalnego w Ameryce Łacińskiej (większość tych środków pozostaje przy tym w gestii jednego banku amerykańskiego, czyli Citibanku).

Wybierając sprzedaż większości własnych kapitałów zagranicznym inwestorom, Polska nie zbliżyła się bynajmniej do Europy Zachodniej, choć taki był zamiar. Weszła natomiast na drogę, na której znalazły się kraje Ameryki Łacińskiej, gdzie, jak widać, prywatyzacja - choć wolniej - prowadzi głównie do obcych przejęć. W ten sposób, można powiedzieć, następuje nie tyle oczekiwana „europeizacja” polskiego kapitalizmu, ale jego swoista „latynizacja”.

Podsumowanie

Obraz, który się wyłania z międzynarodowych porównań podważa rozpowszechniony pogląd, że Polska przyjęła jedyną dostępną drogę zmian własnościowych. To, co się stało nie było *żadną* historyczną koniecznością w tym sensie, że żadne teoretyczne rozwiązanie z wyjątkiem przyspieszonej, masowej prywatyzacji opartej na wyprzedazy większości majątku za granicę nie dawało nadziei na stworzenie dynamicznej gospodarki, w której rośnie ogólny dobrobyt.

Na to, że ten szeroko przyjęty pogląd jest mitem - nazwijmy go mitem nieuchronności - wskazuje chociażby fakt, że wśród byłych komunistycznych krajów Słowenia, zamiast prywatyzacyjnego wynarodowienia, wybrała wariant narodowej prywatyzacji. Choć zwolennicy masowej wyprzedazy majątku za granicę bardzo krzywią się na porównania z Chinami, przykład budujących kapitalizm Chin również dowodzi, że, choćby teoretycznie, istniał jeszcze inny wybór.

Jedyny współczesny model budowy kapitalizmu, który się naprawdę sprawdził wśród średniorozwiniętych krajów przyjęła dotąd Azja Wschodnia. W żadnym zaś razie Ameryka Łacińska, którą prześladowają niepowodzenia. To, że w Azji Wschodniej kapitał pozostał własny a w Ameryce Łacińskiej właśnie trwa jego radykalna wyprzedaż na rzecz zagranicy, może sugerować, że przyjmując „latynoski” wariant, Polska zesła być może na prawdziwe gospodarcze bezdroża.

Ta „latynoska” ścieżka reform nie może być dla Polski optymalna, nawet gdyby przyjąć, że to jest przejściowa faza, w której społeczeństwo ma się nauczyć kapitalizmu od obcych. Trudno jest bowiem zrozumieć jak ma się ono nauczyć być kapitalistami bez własnego kapitału, czy to nie jest jak lekcja pływania bez wody. Wygląda, więc na to, że nie chodzi o jakąś fazę przejściową, ale raczej o bardzo trwałą sytuację. I jako taką trzeba też ją chyba dzisiaj oceniać.

ROZDZIAŁ DRUGI

SPRZENIEWIERZONY MAJĄTEK

Wielu ekonomistów nalegało, aby majątek państwa rozdać równo obywatelom, którzy go stworzyli, ale zamiast tego, niejako w imieniu obywateli, państwo w istocie rozdało cały ten majątek cudzoziemcom.

Skoro zagranicy sprzedawany jest wspólnie wytworzony majątek, jego wycena powinna być znana publicznie, ale nie jest. Ciągłe mało, kogo ten fakt oburza, gdyż przyjął się pogląd, że komunizm zostawił złom. Cena nie jest ważna, ważne jest to, by mało warte fabryki i banki oddać w dobre ręce. Bez względu na to, jaka jest prawda, należy jednak zbadać jak wyceniono narodowy majątek. Ponieważ chodzi o zbiorowe wywłaszczenie, kalkulację tę nazywam „rachunkiem wywłaszczenia”.

Szok cenowy

Proponuję zacząć od zapoznania się z przychodem za sprzedany majątek państwa, bo takie dane są łatwo dostępne z budżetu państwa. Za cały okres 1990-1999, gdy sprzedano mniej więcej połowę sektora przemysłowo-bankowego, wpłynęło około 9-11,5 miliardów dolarów. Należy, więc przyjąć, że w momencie zakończenia procesu prywatyzacji, powiedzmy w roku 2004, przychód z prywatyzacji w najlepszym razie ulegnie podwojeniu do łącznej sumy równej 18-23 miliardów dolarów.

Można by powiększyć stronę wpływów, gdyż zagraniczni inwestorzy pozyskują kapitał nie tylko od państwa, ale też z zakupów giełdowych, czy z zamiany długów. Należałoby wtedy jednak odjąć koncesje państwa na rzecz obcych nabywców (np. ulgi podatkowe, czy wyłączenia celne). Nikt nigdy nie zadał sobie trudu, żeby wyszacować wartość tych zachęt finansowych, choć nie można wykluczyć, że mogą one z wpływem lat dorównać wpływom ze sprzedaży majątku zagranicy.

Trzymajmy się jednak tej sumy 18-23 miliardów, która zostanie uzyskana z wyprzedaży, i zastanówmy się czy suma ta może być adekwatna do wartości kapitału. Ponieważ kapitał powstaje z nieskonsumowanej części dochodu narodowego, czyli z oszczędności, najlepiej jest porównać ten przychód z rocznymi oszczędnościami. Stanowią one 20 procent dochodu narodowego, np. w 1998 r., przy dochodzie ok. 160 miliardów dolarów, wyniosły 32 miliardy dolarów.

Wynikałoby stąd, że polski majątek sprzedawany jest za mniej niż roczne oszczędności. Przy takiej cenie, Polacy mogliby kupić swój dotąd „własny” kapitał stosunkowo małym wysiłkiem, bo roczne oszczędzanie 20 procent dochodów to nie jest niesłychane wyrzeczenie. Żeby te oszczędności trafiły do faktycznych nabywców kapitału, potrzebne byłoby pośrednictwo banków, ale nawet niewydolne banki, mogłyby z pewnością zrobić to wszystko w ciągu - powiedzmy - dwóch, trzech lat.

Gdyby ktoś miał nadal wątpliwości, że majątek sprzedawany jest za śmiesznie niskie ceny proponuję, żeby się zastanowił co by było gdyby np. Austria zaoferowała swoje banki i fabryki Polsce za ekwiwalent swoich rocznych oszczędności. Skoro jej gospodarka jest dwa razy większa od polskiej, Polska mogłaby, na polskich warunkach, za swoje dwuletnie oszczędności, wykupić austriacki przemysł i banki, przy czym, nie byłby to już jakiś ewentualny komunistyczny szmelc. Powyższa operacja byłaby absurdalna, gdyż przy właściwej - rynkowej - wycenie, nie można by kupić Polskich banków/fabryk za roczne oszczędności, ani tych w Austrii za dwuletnie. Stworzenie kapitału, w każdym przypadku, wymagało wykorzystania wieloletnich oszczędności. Gdyby przyjąć, że zbudowanie polskiego kapitału wymagało inwestowania narodowych oszczędności przez dziesięć lat, to wypadłoby, że jest on sprzedawany za 10 procent prawdziwej wartości.

To wyliczenie, choć przybliżone, właściwie powinno wystarczyć, ale można sięgnąć do innej - bardziej dokładnej - metody, przez wykorzystanie koncepcji tzw. współczynnika kapitałochłonności. Określa on liczbę jednostek kapitału niezbędną do wytworzenia jednej jednostki dochodu narodowego rocznie. W przemyśle z reguły wynosi on trzy lub cztery, czyli że potrzeba trzech bądź czterech dolarów kapitału, by rocznie wytworzyć jednego dolara dochodu narodowego.

Przyjmijmy, że współczynnik kapitałochłonności w bankowości jest taki jak w przemyśle, oraz, że te dwa sektory dają połowę rocznego dochodu Polski, a więc połowę 160 miliardów dolarów, czyli 80

miliardów dolarów. Gdyby przyjąć współczynnik równy 3/1, wtedy, by rocznie wyprodukować taką wartość, sektory te musiałyby dysponować majątkiem wartym trzy razy więcej, czyli 240 miliardów dolarów, albo 360 miliardów dolarów, gdyby przyjąć współczynnik 4/1 (Załącznik 2).

Chciałbym tutaj przypomnieć, że identyczne założenia przyjęli Niemcy Zachodni, kiedy zabrali się do prywatyzacji majątku Niemiec Wschodnich. Stosując współczynnik 3/1 ustalili, że pozostawiony przez komunizm zasób wart był 320 miliardów dolarów, czyli zbliżony był do tego, który wyliczyłem dla Polski. Ma to sens, gdyż dochód narodowy obu go- spodarek, mimo dużej różnicy w poziomie ich populacji, był bardzo zbliżony w momencie, gdy upadał w nich system komunizmu.

W kontekście mojej analizy całkiem jałowe jest zastanawianie się, w jakim stopniu majątek Polski, czy Niemiec Wschodnich, był fizycznie zużyty. Faktem jest, że zwłaszcza w Polsce, w wyniku załamania inwestycyjnego w końcówce komunizmu, kapitał trwały - w tym maszyny - był bardzo zużyty fizycznie. Zastosowany tutaj współczynnik wartości kapitału przypadający na jednostkę dochodu narodowego, odnosi się jednakowoż nie do zużytego, ale do niezżytego kapitału.

Teraz można już bliżej ustalić, jaki okres oszczędzania był niezbędny dla stworzenia kapitału, który zostawił komunizm. Wystarczy podzielić faktyczną wartość kapitału, 240-360 miliardów dolarów przez roczne oszczędności wynoszące 32 miliardy dolarów. Wypada, że taki zasób kapitału wymagałaby 7,5 albo nawet 11 lat oszczędzania. Wynikałoby więc stąd, że kapitał polskich banków i fabryk idzie za granicę za około 9-12 procent jego faktycznej wartości.

Wieczny wyciek

Nie wystarczy zbadać sam sposób wyceny sprzedawanego majątku, gdyż ze sprzedażą wiąże się jednocześnie przekazanie tytułu do wywozu dochodów z kapitału. Ci, którym nie przeszkadza wyprzedaż dowodzą, że taki wywóz jest nierealny, gdyż inwestorzy będą reinwestować dochody. Ale nawet gdyby gospodarka była wyjątkowo atrakcyjna, odpływ taki jest nieunikniony, gdyż w realnym świecie pieniądze inwestuje się nie po to żeby inwestować, ale także żeby konsumować.

Aby rachunek wywłaszczenia był pełny należałoby uwzględnić odpływ głównej formy dochodów z kapitału -zysków, jak również tzw. rent, które powstają, gdy rynki są niedoskonałe. Prawda jest, bowiem taka, że choć rynki zastąpiły plany, zachowana została ogromna monopolizacja gospodarki. Zagraniczni inwestorzy nabyli nie tylko państwowy kapitał, ale przejęli jednocześnie pozycje monopolistyczne, oraz związane z nimi renty, które należały kiedyś do partii/państwa.

Państwo, jako druga obok rynku główna instytucja, też jest niedoskonałe, otwierając kolejne możliwości osiągania rent. Dowodem na obecność tych, nazwijmy je, państwowych rent może być dopiero, co przeprowadzona *analiza* zdyskontowanej sprzedaży majątku zagranicznym inwestorom. Albowiem, gdyby się bliżej zastanowić, finansowe korzyści, jakie zagraniczni nabywcy odnieśli na skutek państwowego „upustu” cenowego, to też rodzaj monopolistycznej renty.

W ostatecznym rachunku źródłem rent - czy to rynkowych, czy państwowych - są płace. W przypadku tych rynkowych, płace są np. drenowane przez wygórowane ceny narzucane przez monopolistów. W przypadku rent państwowych również cierpią płace, gdyż nie płacąc podatków, bądź zawyżając koszty wykonawstwa w ramach zamówień rządowych, ci sami monopolisci uszczuplają środki na uzupełnienie płac (np. w formie bezpłatnego lecznictwa, czy ogólnego szkolnictwa).

Ponieważ nie można liczyć na to, że zyski/renty będą stale reinwestowane w kraju, państwo mogłoby próbować zablokować odpływ dochodów za granicę. To prawda, że istnieje taka teoretyczna możliwość, gdyż zagraniczne firmy ze względu na swą lokalizację podlegają miejscowej legislacji.

Ale przecież nie można traktować tej możliwości serio, gdy państwo właśnie dowiodło półdarmową sprzedażą majątku, że wcale nie liczy się z potrzebami narodowej gospodarki.

Zresztą dominująca pozycja obcego kapitału pozwala mu na „szantaż gospodarczy” państwa, a na dodatek kapitał ten jest bardzo trudny do kontrolowania. Z łatwością może on wyprowadzać swoje zyski/renty choćby przez manipulacje w handlu zagranicznym, który już dzisiaj jest w 2/3 w obcych rękach. Robi się to przez tzw. ceny transferowe (zawyżając ceny swych dostaw importowych z własnych filii oraz zaniżając ceny opartego o ten przywóz eksportu do tychże filii).

Inną możliwość niewidzialnego wywozu stwarzają zagraniczne banki. Ze względu na ciągle bardzo „drogi” krajowy kredyt, banki te przechwytyują zyski/renty z reszty gospodarki. Stąd może fakt, że w ostatnich latach realna wartość giełdowa spółek przemysłowych malała, a bankowych rosła. Wywóz tych

przychodów jest możliwy przez ukartowane transakcje między polskimi a zagranicznymi bankami-matkami, wykazującymi zawyżone, albo nieistniejące, koszty własne.

Żeby się zorientować, o jakim wycieku mówimy, można przyjąć, że czyste zyski to 10 procent dochodu narodowego. Skoro banki i przemysł dają połowę dochodu, przypada na nie połowa zysków, czyli 5 procent dochodu narodowego. Zagraniczni inwestorzy zdobyli tytuł do tych 5 procent, a wraz z rentami może łącznie nawet do 10 procent. Przy 160 miliardach dolarów dochodu narodowego, chodzi o potencjalną sumę rzędu 16 miliardów dolarów - sumę rosnącą wraz z gospodarką.

Już dzisiaj, w połowie drogi do pełnej wyprzedaży, drenaż zysków z Polski (nie uwzględniając rent) można szacować na 2-3 miliardy dolarów (Rutkowski 2001). Jest to bardzo realistyczna ocena, gdyż na Węgrzech, z jedną trzecią polskiego dochodu narodowego, w 1998 r. z tytułu repatriacji dochodów z zagranicznego kapitału, bilans płatniczy pogorszył się o 1.5 miliarda dolarów. W związku z tym, rząd węgierski został zmuszony do zaciągania kredytów, oczywiście zagranicznych.

Ten odpływ zysków/rent jest przy tym jednokierunkowy, gdyż Polska, podobnie jak Węgry, nie tworzy za granicą większych zasobów kapitałowych. W 1998 r. Europa Wschodnia wydała zaledwie 1/4 miliardów dolarów na zakup kapitału zagranicą, oczywiście bez żadnego dyskonta. To jest nic w relacji do sprzedaży, gdyż w tymże roku region sprzedał kapitał wart 54-63 miliardy dolarów ze średnim dyskontem na poziomie dziewięćdziesiąt procent za ok. 5-6 miliardów dolarów.

Zupełnie inna jest sytuacja w Europie Zachodniej, gdzie nawet słabiej rozwinięta Hiszpania zaczęła właśnie wykazywać dodatni bilans kapitałowy, głównie przez inwestycje w Ameryce Łacińskiej. Niedawno sprywatyzowana hiszpańska Telefonica przystąpiła tam do akwizycji za 27 miliardów dolarów. Za tą sumę mogłaby ona „kupić” Polskę, choć chodzi tylko o jedną firmę, której biznes nie tak dawno był tylko parę razy większy od jej prywatyzowanego polskiego odpowiednika.

Jałowa machinacja

Żeby dokończyć „rachunek wyłączenia”, należałoby się jeszcze zastanowić, czy w zamian za wyzbycie się zysków/rent Polska skorzysta z wyższej wydajności kapitału. Można założyć, że zagraniczni kapitaliści są lepiej przygotowani do użytkowania kapitału. Ale po to, żeby wyprzedaż miała sens, te ewentualne korzyści w formie wyższej wydajności musiałyby dać efekt produkcyjny większy od łącznych strat na darmowej wyprzedaży kapitału oraz rocznym drenażu zysków/rent.

Pobieżna analiza sugeruje, że jest mało prawdopodobne, żeby korzyści z wydajności usprawiedliwiły masową wyprzedaż obcym, gdyż nie widać jakiegoś skoku w inwestycjach. Tylko wtedy jednak mogłaby nastąpić niezbędna poprawa wydajności, gdyż lepszą technikę wdraża się głównie przez inwestycje. Nie widać też, żeby inwestycje szły do dziedzin, gdzie koncentrują się zmiany techniczne; odwrotnie często ma miejsce likwidacja nowoczesnych dziedzin produkcji, np. elektroniki.

Kto wie, czy wejście obcego kapitału nie doprowadzi do trwałego cofnięcia technicznego, gdyż malejący wysiłek inwestycyjny prowadzi do upadku tzw. zaplecza badawczego. Gwałtownie spadła liczba naukowców oraz wysokość nakładów, czego wyrazem jest spadek liczby krajowych patentów. Liczba zgłoszonych do opatentowania wynalazków spadła z 4100 w 1990 r. do 2800 w 1995 r.,

o jedną trzecią (na Węgrzech ta liczba spadła w 1990-1995 z 2300 do 1100, czyli o ponad połowę).

Dobitym przykładem jest ABB (Hofheinz 1994), która kupiła 58 fabryk silników w Europie Wschodniej, w tym prawie wszystko, co miały Polska i Czechy. Nie odnowiono produkcji, wystarczyła reorganizacja, na którą wydano - głównie w formie wynagrodzeń dla własnych kierowników - 300 milionów dolarów, czyli ok. 20 milionów dolarów na jedną nabytą fabrykę. Polski potentat Zamech, były rywal, stał się podrzędną bazą, prawie bez samodzielnych linii produkcyjnych.

Te informacje to oczywiście zbyt mało, żeby formułować solidne wnioski na temat efektów wyprzedaży majątku, zcznijmy więc kolejny etap „rachunku wyłączenia”. Mianowicie, spróbujmy ustalić, gdzie znalazłaby się gospodarka, gdyby w ogóle nie doszło do prywatyzacji a utrzymałby się trend w produkcji widoczny w końcu komunizmu, czyli za Jaruzelskiego, pozostawiając na boku kwestię ewentualnych różnic w strukturze produkcji (tj. jakości i asortymentu wyrobów).

Dla polskich tzw. liberałów takie sięganie do przeszłości jest nie do pomyślenia, gdyż ich zdaniem gdyby nie ostatnie reformy rynkowe, nastąpiłby w Polsce istny koniec świata. Nie ma jednak dowodu na to, że groziła apokalipsa. Z pewnością produkcja mogłaby dalej rosnąć 4 procent jak w latach 1983-1989. Przyjmując 4 procent, zaczynając od punktu gdy gospodarka dźwignęła się już z kryzysu lat 1990-1992, wpadłoby, że w 2004 r. dochód narodowy wyniósłby około

190 miliardów dolarów. A gdzie byłaby Polska, gdyby nic nie straciła na sprzedaży majątku z 90-procentowym dyskontem. Przyjmując za podstawę 240 miliardów dolarów faktycznej wartości kapitału, ta strata wynosi 216 miliardów dolarów. Gdyby cała ta suma została zainwestowana, przy współczynniku kapitałochłonności 3/1, dochód narodowy podniósłby się o jedną trzecią, czyli o około 72 miliardy dolarów.

Mielibyśmy, więc w 2004 r. nie 190 ale raczej 262 miliardów dolarów dochodu narodowego.

Wyższa wydajność musiałaby, więc zapewnić przynajmniej ten sam poziom dochodu narodowego, a także dodatkowy przyrost wyrównujący coroczny wyciek za granicę zysków/rent. Gdyby przyjąć, że wyciek stanowi 10 procent wartości całego dochodu narodowego, wtedy dodatkowy przyrost dochodu narodowego musiałby wynieść około 26 miliardów dolarów, dając końcowy poziom wymaganego dochodu narodowego w 2004 r. równy $262 + 26$, czyli 288 miliardów dolarów.

Można teraz łatwo sprawdzić, czy Polska znajdzie się na takim poziomie rozwoju w 2004 r., kiedy zakończy się już proces prywatyzacji. W tym celu założmy optymistycznie, że w okresie 1999-2004 r. gospodarka rośnie nie 4 ale 5 procent rocznie, czyli więcej niż w ostatnich dwóch latach. Przy takim tempie dochód narodowy osiągnie tylko 210 miliardów dolarów, zabraknie więc 78 miliardów dolarów by pokryć straty z wyprzedaży oraz wyrównać drenaż zysków/rent.

Ale nie można wykluczyć, że 5 procent stopy wzrostu to zbyt optymistyczne założenie, albowiem są dowody, że gospodarka właśnie weszła w kolejny kryzys, drugi po tym z lat 1990-1992. Obym był złym prorokiem, ale jeżeli w kolejnym kryzysie - też dzieła Balcerowicza - produkcja spadnie nawet nie 20 procent jak w latach 1990-1992 ale 10 procent, wtedy Polska w 2004 r. osiągnie tylko 190 miliardów dolarów, czyli tyle ile miałyby bez póżdarmowej wyprzedaży swego majątku za granicę.

Niewiele, więc trzeba, żeby się okazało, że tzw. liberałowie zaordynowali Polsce program budowy kapitalizmu, który nie da im żadnej namacalnej poprawy poziomu życia w porównaniu z rozwojem bez reform, natomiast zostawi społeczeństwo bez wypracowanego przez całe pokolenia kapitału.

Nie pozostałoby wtedy nic innego do powiedzenia niż to, że ten program polega na wywłaszczeniu narodu z kapitału bez żadnej rekompensaty, lub prościej - na jego konfiskacie.

Podsumowanie

Można teraz wykazać bezzasadność kolejnej potocznej opinii dotyczącej reform ustrojowych, głoszącej jakoby Polacy musieli oddać majątek narodowy za bezcen w obce ręce, gdyż nie było ich stać na jego wykupienie. Skoro jednak Polacy stworzyli ten majątek to nie powinni mieć problemu, żeby przy odpowiedniej polityce prywatyzacji, wykupić go samemu. Nie mieli natomiast szansy na wykupienie wielokrotnie większego majątku trwałego Austrii, gdyż go przecież nie zbudowali.

Jakże obłudne jest mówienie o finansowej niemożności Polaków, w świetle tego, że majątek przemysłu i banków został sprzedany za jedną dziesiątą jego aktualnej wartości. Na to, żeby wykupić majątek po pełnych cenach Polacy potrzebowaliby sporo czasu, ale na tak nisko wyceniony majątek, wystarczyłyby roczne oszczędności społeczeństwa. Nie jest prawdą, że zostawiony przez komunistów kapitał był nic nie wart, prawdą jest, że on został sprzedany za bezcen, tyle, że nie Polakom.

Prawdziwa „nędza” transformacji wychodzi na jaw, gdy zrozumiemy, że sprzedając za nic, reformatorzy stracili środki na pomnożenie narodowego kapitału. Przy ekwiwalentnej sprzedaży, za każdy stary obiekt można by postawić dokładnie drugi tak samo stary, tak, że majątek by się podwoił. Wtedy nie musiałoby dojść do utraty kontroli nad majątkiem narodowym, gdyż jedno poszłoby do obcych a drugie trafiłoby do lokalnych właścicieli, więc podział byłby pół-na-pół.

Dopiero teraz, gdy Polska nie ma własnego majątku, pojawia się prawdziwy problem, jak lokalni inwestorzy mają zakumulować kapitał, zwłaszcza ten większej skali. Trudno to będzie zrobić bez zysków, zwłaszcza, że zagraniczni właściciele nie wpadną na pomysł, żeby zaproponować odsprzedaż banków i fabryk, skąd pochodzą zyski, za jedną dziesiątą wartości. Wymyślona przez tzw. liberałów niewydolność finansowa Polaków po komunizmie, jedynie teraz staje się faktem.

ROZDZIAŁ TRZECI

NIEKOMPLETNY KAPITALIZM

Odejście od komunizmu dokonano się głównie w sferze językowej, czy w wyobraźni, ponieważ tak naprawdę reformy ustrojowe pozostawiły pewne główne defekty komunizmu nietknięte

To, że w wyniku nieudolnych reform zamieniono w Polsce zwyrodniały komunizm na kapitalizm w jego absolutnie wynaturzonej wersji można najlepiej zrozumieć porównując nowy system nie tyle z sytuacją w ustabilizowanych krajach kapitalistycznych, co z powalonym właśnie komunizmem. A to, dlatego, że komunizm stanowi bezsporne wynaturzenie, więc można by się spodziewać, że jako wynaturzenie, „niekompletny kapitalizm” musi mieć z nim raczej wiele wspólnego.

Patologia społeczna

Nie od dzisiaj odczuwam głęboki niepokój jeśli chodzi o przebieg zmian ustrojowych w Polsce. Od samego zarania reform znalazłem się w gronie tych amerykańskich ekonomistów, jak np. Murrell (1992), którzy z wielką rezerwą patrzyli na rozwój wydarzeń. W tej początkowej fazie przedmiotem naszych wątpliwości była skrajność „terapii szokowej”. Swym radykalizmem zbytnio przypominała komunistyczne kampanie szturmowe, nie wróżąc tym samym nic dobrego dla losów gospodarki.

Tak też się stało, gdyż w wyniku zbyt gwałtownych posunięć polska gospodarka wpadła od razu w głęboką recesję gospodarczą. Ale recesje są krótkotrwałe, przychodzi po nich rozwój, natomiast instytucje społeczne, gdy powstaną to łatwo nie odchodzą, w każdym razie nie bez silnego oporu. Debata nad recesją przesłoniła niestety ważniejszy fakt, że od pierwszej chwili reformy zaczęły rodzić chory kapitalizm, przekreślając szansę na prężny rozwój na dłuższą metę.

Kiedy zaczęła się transformacja, wyglądało na to, że reformy zapewnią wdrożenie jakiegoś wypróbowanego od dawna wariantu kapitalizmu. Więcej, wyglądało na to, że reformatorzy mają całkowicie wolny wybór jeśli chodzi o konkretną formę kapitalizmu. Zastanawiano się, więc, czy wybrać model tzw. anglosaski, gdzie rola państwa jest bardzo ograniczona, czy raczej tzw. kontynentalny model kapitalizmu, gdzie państwo jest bardzo aktywne, jak np. w Niemczech czy Francji.

W pierwszym roku transformacji sam zacząłem poważnie rozważać najbardziej prawdopodobny kierunek przemian ustrojowych w Polsce. Założyłem wtedy kilka możliwych rozwiązań, nawet taką ewentualność, że żaden z wypróbowanych wariantów kapitalizmu nie musi być wcale wprowadzony. Uznałem, że skoro nie tak dawno „przytrafił” się Europie Wschodniej taki groźny „niewypał” jak komunizm, nie można wykluczyć, że znowu coś może nie wypalić.

Jednym z niepożądanych wariantów byłby tzw. kapitalizm polityczny, w którym władza używana jest do zdobycia prywatnej kontroli nad publicznym kapitałem. W ten sposób nastąpiłoby automatyczne uwłaszczenie byłej nomenklatury, niejako na wzór wielu krajów, które doszły do kapitalizmu z pominięciem komunizmu (np. we Włoszech po ich politycznej unifikacji albo jeszcze wyraźniej w Turcji czy w Malesji, gdzie korpus oficerski zasilił szeregi kapitalistów).

Innym patologicznym wariantem, który należało brać pod uwagę byłby kapitalizm, w którym majątek państwa jest przejmowany głównie przez zagranicznych inwestorów. Wbrew deklaracjom na temat prześcigania rozwiniętego kapitalizmu, rządy komunistyczne nie wydobły wschodnioeuropejskich krajów ze stanu ogólnego zacofania, w jakim w niego weszły. A, jak wiadomo, w zacofanych krajach znaczna część czynnego kapitału, znajduje się z reguły w rękach zagranicznych.

Dzisiaj widać, że transformacja nie odbywa się głównie drogą politycznego kapitalizmu, gdyż kapitał narodowy przejmowany jest nie przez byłe czy nawet nowe elity władzy, ale przede wszystkim przez zagranicznych inwestorów. Transformacja wpełzła region na drogę tzw. zależnego kapitalizmu, jak to często ma miejsce właśnie w krajach zacofanych. Tyle, że w zacofanej gospodarczo Europie Wschodniej w grę wchodzi zagraniczna dominacja na zupełnie wyjątkową w historii skalę.

Upajając się samym faktem upowszechnienia prywatnej własności kręgi, tzw. liberalne twierdzą, że w Polsce rodzi się system, który być może odbiega od normy, od tego, co ma miejsce np. w Europie

Zachodniej, ale nie jest bynajmniej wynaturzeniem. Odwrotnie, buduje się w Polsce „najwyższy etap kapitalizmu”, czyli kapitalizm globalny, gdzie kapitał jest rozproszony i anonimowy. W tej sytuacji wszelkie narzekanie na brak własnych kapitałów jest dowodem niezrozumienia nowych czasów.

Opinia, że powstaje „najwyższy etap kapitalizmu”, to zwykle nieporozumienie, zapożyczone z marksowskiej idei internacjonalizmu. To marksowski internacjonalizm polityczny zakłada zanik odrębnych narodów oraz narodowych interesów. W tej fikcji, beznarodowi robotnicy - proletariusze - łączą się ponad głowami kapitalistów. W nowej fikcji, w której chodzi raczej o gospodarczy internacjonalizm, łączą się natomiast beznarodowi kapitaliści, nad głowami robotników.

Zamiast spekulować na temat tego, czy polskie reformy wydały „najwyższy etap kapitalizmu”, lepiej jest zastanowić się czy tworząc kapitalizm bez rodzimych kapitalistów nie zachowano głównej cechy komunizmu. Tą cechą jest nie tyle likwidacja prywatnej własności na rzecz publicznej, ale stworzenie nowej struktury społecznej. Z eliminacją prywatnej własności nastąpiła rzecz ważniejsza - usunięcie klasy kapitalistycznej, zwłaszcza tej z pokaźnymi zasobami kapitału.

Jeżeli uznać społeczną strukturę komunizmu za patologię, to rodzący się obecnie porządek też niestety stanowi patologię. W wyniku oddania większości kapitału nie odradza się, bowiem zniszczona przez komunizm burżuazja. Mimo niewątpliwego nawału reform, pozostała w Polsce spłaszczona - niekompletna - struktura społeczna z powalonego komunizmu. Pojawia się śladowy drobny kapitał, ale jego obecność nie stanowi istoty kapitalizmu, gdyż taki istniał nawet w ustroju feudalnym.

Dalszy regres

Podstawowa cecha komunistycznej patologii została w gruncie rzeczy nie tylko utrwalona ale i pogłębiona. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać niemożliwe, żeby kapitalizm, jako „naturalny” ład, który jednostki niejako tworzą same z siebie, mógł wyostrzyć patologię komunizmu.

W istocie rzeczy, kapitalizm w jego najlepszej wersji bezsprzecznie góruje nad komunizmem w swej najlepszej formie, ale nie jest już tak bezsporne, że nawet w swej całkowicie wypaczonej wersji kapitalizm bezapelacyjnie góruje nad każdą formą komunizmu.

Tak jest w przypadku polskiego „niekompletnego”, czy „bezklasowego” kapitalizmu, gdyż dokonane właśnie przekazanie większości kapitału zagranicą wprowadza ważną zmianę w zastanych relacjach własności. Żeby jednak uchwycić ten aspekt transformacji, należałoby ustalić, kto za komunizmu sprawował władzę nad kapitałem, bo jak był kapitał, to musiał przecież do kogoś należeć, przynajmniej w sensie prawa decydowania o sposobie jego wykorzystania w produkcji.

Formalnie własność kapitału w komunizmie była publiczna, ale faktycznie znajdowała się w gestii partii, co zapewniał monopol władzy politycznej. Partia była, więc jedynym najemcą a społeczeństwo podporządkowaną siłą roboczą. Nie należy popadać w iluzję, że ponieważ majątkiem *zarządzali* niewybieralni partyjni, to majątek był niczyj. Taka niebezpieczna iluzja sugeruje, że w drodze prywatyzacji zagraniczni inwestorzy posiadli jedynie zupełnie bezpański kapitał.

Wraz z dokonującym się przejściem do „niekompletnego” kapitalizmu partia, jako sprawująca monopol władzy siła polityczna, traci w drodze prywatyzacji swoje funkcje kontrolne na rzecz siły ekonomicznej w postaci cieszących się monopolem własności obcych inwestorów. Jak widać, istotą zmian własnościowych jest wymiana - czy lepiej substytucja - aparatczyków partii, jako nieformalnych dysponentów, na zagranicznych - formalnych - właścicieli kapitału.

Komunizm wywłaszczył rządzonych na rzecz partii, ale kontrola nad majątkiem utrzymana była w ramach państwa narodowego, teraz natomiast wywłaszczeniu ulega cały naród, łącznie nawet z rządzącymi, więc kontrola kapitału wychodzi poza te ramy. Powinno się, więc raczej zaprzestać mówienia o prywatyzacji, co brzmi raczej pozytywnie, a zacząć mówić o masowym wywłaszczaniu całego narodu na rzecz obcych inwestorów - albo lepiej o „prywatyzacji przez wywłaszczenie”.

Niepodzielna kontrola kapitału pozwalała partii na drenowanie społeczeństwa, czynnika pracy, w celu akumulowania tzw. nadwyżki. W tym zachowaniu wyrażała się rola partii jako swoistego substytutu klasy kapitalistycznej, której głównym motywem jest maksymalizacja „wynagrodzenia” kapitału. Rozszerzała się też baza dla pomnażania kapitału, gdyż nadwyżka - choć niezbyt efektywnie - była inwestowana przez kadry głównie w dobra kapitałowe, w tym w przemysł ciężki.

W wyniku rozszady między kadrami partyjnymi a obcymi właścicielami, ci ostatni zyskują kontrolę nad podziałem dochodu narodowego, którą sprawowała partia/państwo. Można założyć, że tak jak były kadry, a może

nawet bardziej, zagraniczni inwestorzy zainteresowani będą maksymalizacją „wynagrodzenia” kapitału. W nowym wydaniu nadal, więc będzie istniało dążenie do narzucenia sile roboczej - pracy -wyjątkowo niekorzystnego podziału, kosztem płac.

W komunizmie takie wyduszanie „niezasłużonej” wartości (czyli - rent) dokonywało się w danym kraju między konkurującymi czynnikami produkcji, przepłacanym kapitałem i niedopłaconą pracą. Przepływ zysku, jako zasłużonego „wynagrodzeniem” kapitału, też był tylko wewnętrzny. Natomiast w kapitalizmie bez kapitalistów „niezasłużona” wartość, premiująca kapitał kosztem pracy, oraz zysk - są już przeliczane między czynnikami produkcji w różnych krajach.

W zbudowanym w miejsce komunizmu systemie, obieg gospodarczy nie jest, więc już zamknięty, ale ma wbudowany na stałe „wyciek”. Podział na zyski i płace wiąże się bowiem nieuchronnie ze stałym odpływem efektów produkcji, wartości, poza granice danego kraju. Ponieważ zyski oraz renty wydawane są poza granicami, krajowa siła robocza nie może liczyć nawet na pośrednie korzyści z ich wydatkowania (na przykład w formie obsługi luksusowej konsumpcji).

Jest to narodowy problem, ponieważ w trakcie budowy kapitalizmu kraje Europy Wschodniej jako całość zostają pozbawione własnego kapitału. Nie da się, więc inaczej dyskutować o tym zjawisku niż w kategoriach narodowych. Zwłaszcza, że kapitalizm oraz państwo narodowe są nierozdzielalne; w każdym razie powstały jednocześnie. Nie ma narodu bez pewnej formy nacjonalizmu jako źródła pojęcia interesu narodowego, cementującego ludzi w koherentną zbiorowość.

Nie można sobie wyobrazić, żeby jakieś społeczeństwo wyżyło się większości majątku trwałego na rzecz zagranicy przy rozbudowanej świadomości interesu publicznego. Pokutuje opinia, że transformacja ustrojowa w Polsce zaczęła się od zrywu narodowego, w którym sprawą nadrzędną stało się dobro publiczne. Ale musiało stać się inaczej, w rzeczywistości główną siłą napędową tego procesu musiało być raczej zaprzeczenie takiej świadomości, wręcz zwrot w stronę pełnej prywaty.

Nietrwałość struktur

Mimo, że „niekompletny kapitalizm”, bardziej zgodny z logiką ekonomiczną, z faktyczną własnością, może okazać się bardziej wydajny niż wsparty na logice politycznej, czyli gołej władzy, komunizmu - nie wystarczy to dla utrzymania systemu. Warto przypomnieć, że w latach komunistycznych bunt robotnicze nasilały się po okresie poprawy ekonomicznej (np. późne lata Gierka). Komunizm został odrzucony, mimo że do końca dochód narodowy rósł, często nawet bardzo znacznie.

O społecznej ocenie systemów decydują nie tyle ocen ogólnego stanu gospodarki, co opinie na temat dystrybucji dochodu narodowego. W okresie komunizmu niezadowolone społeczne nabierało wydźwięku nacjonalistycznego, gdyż atakowano partię za to, że dławiała płace robotników na rzecz radzieckich mocodawców (np. sprzedając za bezcen statki). Przed podobną groźbą stoi „niepełny kapitalizm”, gdyż pomówienie o eksploatację może pojawić się prawie w każdej chwili.

Fakty mogą się nie liczyć, gdyż społeczeństwa łatwo stają się podejrzliwe, jeśli chodzi o intencje obcych państw, gdy ich obecność w danym kraju jest nazbyt widoczna. Trudno zaś o bardziej dobitne dowody takiej obecności niż obecna struktura własności w polskiej gospodarce. Zwłaszcza że własność skupia się w rękach międzynarodowych korporacji, tak potężnych, iż każdy ich ruch może wstrząsnąć podstawami raczej niewielkiej gospodarki Polski.

Na dodatek, wbrew różnym mrzonkom, włączając ideę umiędzynarodowienia kapitału, gospodarki są wciąż głównie narodowe, a narody jak wiadomo są nierówne. Nawet takie ponadnarodowe struktur, jak Unia Europejska, działają na zasadach proporcjonalności głosów do skali kraju-członka. Fakt, że zagraniczni właściciele kapitału mogą liczyć na wsparcie przez ich państwa pochodzenia, a także przez najróżniejsze „ponadnarodowe” struktur, pogłębia nierówność sił.

Idea umiędzynarodowienia - globalizacji - kapitału, zakładająca ogólną, światową harmonię interesów jest tak samo złudna, jak komunistyczna wizja ogólnej harmonii w formie „międzynarodówki” prac. Depcząc narodowe odczucia, komunistyczny internacjonalizm wyzwolił destrukcyjny nacjonalizm, który obrócił się przeciwko systemowi. Bazując na swej alternatywnej wizji „międzynarodówki” kapitału, obecny system też może wyzwolić podobne niszczące nastroje. Komunizm właściwie upadł bezgłośnie, wręcz banalnie, ale okazać się może, że ostateczne rozstrzygnięcie

z jego spadkiem, czy przedłużeniem w postaci „niepełnego kapitalizmu”, z obcym kapitałem, może przybrać formę prawdziwego politycznego wstrząsu. To są tylko spekulacje, ale historia daje wiele do myślenia, gdyż w okresie przedwojennym, gdy gospodarka polska była kapitalistyczna, zbliżone okoliczności własnościowe stały się przyczyną ostrych ataków na obcy kapitał.

Warto przypomnieć, że przed wojną udział obcego kapitału był w Polsce bardzo wysoki a duża jego część była w rękach niepolskich grup etnicznych. Nie był to jednak „niekompletny kapitalizm”, gdyż kapitał zagraniczny - w sensie rezydencji - nie stanowił, jak teraz, większości. W szczególności nie w sektorze finansowym, czyli w bankach i ubezpieczeniach, gdzie wynosił ledwie 10-15 procent. W przemyśle zagranica miała 30-35 procent kapitału (Landau i Toma-szewski, 1967).

Nawet ten stan, w dopiero co wyzwolonej Polsce wywołał głęboką troskę. Polski żywioł kapitalistyczny czuł się *zagrożony* nie tylko ze strony wielkich korporacji zagranicznych, ale również przez miejscowe mniejszości etniczne (np. na Górnym Śląsku czy na Kresach). Był to okres bardzo aktywnych zabiegów słabo rozwiniętej polskiej klasy kapitalistycznej o poszerzenie wpływów, zwłaszcza przed wybuchem gwałtownego kryzysu światowego, tzw. Wielkiej Depresji lat 30-tych.

Obawy o nadmierne wpływy zagranicy zdominowały nastroje w latach kryzysu właściwie na całym kontynencie Europy, ale i poza nią, w szczególności w Ameryce Łacińskiej, bez względu na to czy obcy stan własności był dominujący. Podobne nastroje wywoływała wówczas nawet jakakolwiek bardziej wyraźna obecność obcych towarów. Nastawienia te stały się pożywką dla dwóch radykalnych nurtów, komunizmu, ale również odbiegającego od komunizmu - faszyzmu.

W przypadku faszyzmu zyskały aprobatę koncepcje rasistowskiego państwa oraz akceptacja koncepcji totalnej wojny jako instrumentu polityki zewnętrznej, wymierzonej przeciw odbieranym jako zagrożenie państwom. Komunistom nacjonalistyczne sentymenty ułatwiły pozyskanie społecznego przyzwolenia dla totalnego państwa, uprawnionego do użycia nadzwyczajnych środków w stosunkach wewnętrznych, wobec postrzeganych jako groźba klas posiadających.

W Niemczech, liderze faszyzmu, wyrosły one z poczucia, że gospodarka jest łupem silniejszych konkurentów, nacjonalizm posłużył do wykreowania bardziej chorobliwych nastrojów nacjonalistycznych. W Rosji, jako liderze, wyrosłego z podobnego poczucia, komunizmu, nacjonalizm był doktrynalnie czymś raczej obcym. W miejsce tego snuto uniwersalną wizję jednolitej szczęśliwej masy „równych” ludzi zamiast, jak w faszyzmie, wizji uniwersalizmu jednej „najwyższej” rasy.

Podsumowanie

Jak widać, inny skutecznie wylansowany pogląd, że polskie reformy ustrojowe stanowią radykalne przejście od komunistycznej nienormalności do kapitalistycznej normalności, nie wytrzymuje prostej konfrontacji z faktami. Samo przejście do systemu kapitalizmu, jak widać, nie gwarantuje, systemowej normalności. Prawdę mówiąc, w jakimś sensie, to co się ostatnio stało z systemem gospodarczym, spowodowało nawet pogłębienie dotychczasowej nienormalności.

Komunistyczna likwidacja prywatnej własności w drodze nacjonalizacji dokonanej przez pierwsze władze po wojnie była jednocześnie wywłaszczeniem obcych właścicieli, jak również etnicznych mniejszości. Przynajmniej w Polsce czy w Czechach zmiany te były też w dużym stopniu konsekwencją przymusowej deportacji ludności niemieckiej według podyktowanego przez zwycięski Związek Radziecki, za zgodą pozostałych aliantów, podziału terytoriów pobitych Niemiec.

Jeśli można mówić o braku ciągłości w procesie odejścia od komunizmu, to chyba głównie właśnie w owym „narodowym” aspekcie przemian własnościowych. Komunizm dokonał po wojnie wywłaszczenia obcego kapitału jako ważnej, ale nie dominującej sfery własności, formalnie na rzecz całego narodu, faktycznie na rzecz partii. Postkomunizm oznacza natomiast prawie pełne uwłaszczenie zagranicznych podmiotów kosztem całego narodu, już bez tej partii.

Mamy więc wreszcie polski kapitalizm, tyle, że zachowano ustanowiony przez komunizm podstawowy układ struktury własności. Nadal brak silnej lokalnej klasy kapitalistycznej obracającej rodzimym kapitałem w celach produkcyjnych a nie w celu zagranicznej wyprzedaży. W tym sensie polska gospodarka pozostaje w objęciach systemu, który z przekory, ale również trochę złośliwie, mam bardzo ochotę nazwać nie tyle „późnym”, co „najpóźniejszym” komunizmem.

CZĘŚĆ DRUGA

ZMARNOWANE PAŃSTWO

Powstanie „niekompletnego kapitalizmu”, w którym brak silnej rodzimej klasy kapitalistycznej, nie byłoby możliwe bez manipulacji społeczną świadomością, przez główny odłam inteligencji, określającej się jako „liberalna”. Inteligencja wystąpiła w tej roli po części ze względu na własne interesy, gdyż wyprzedaż zagranicy za bezcen narodowego majątku stworzyła dla pewnych jej odłamów okazję do osobistych korzyści. Dla innych, przyłączenie się do tej totalnej manipulacji stało się jedynym sposobem uniknięcia marginalizacji w pozbawionym funduszy świecie nauki i kultury. Głównie wspólnym wysiłkiem tych ludzi powstało w społeczeństwie zamieszanie, czy wręcz cofnięcie myślowe, o tyle dziwne, że dopiero niedawno skończyło się pranie mózgów, które uprawiała, z pomocą rzesz inteligencji, komunistyczna machina propagandowa. Nowa kapitalistyczna machina nie poszłaby w ruch, gdyby nie zabiegi tych, którzy mieli coś do zyskania na wywłaszczeniu narodu na rzecz obcych inwestorów za bezcen. Chodzi o zastępy ludzi bezpośrednio związanych z rozdysponowaniem majątku państwa, ludzi, których można określić mianem „handlarzy złomem”. To im posłużyła wyjątkowo absurdalna teza, że trzeba sprzedawać tanio i obcym, gdyż ponoć na wskroś nieracjonalny komunizm właściwie nie zostawił zasobów kapitału, tylko złom, no i bezradną dyрекcję na straży tego złomu. Gdyby to jednak było prawdą, wtedy gospodarka polska mogłaby istnieć tylko na papierze, bo jak nie ma kapitału to nie ma produkcji. Tak samo przydatna okazała się niedorzeczna teza, że należy zaufać przywódcom reform w postaci dynamicznej grupy tzw. liberalistów. A to, dlatego, że w przeciwieństwie do nieracjonalnej władzy za komunizmu, gdy rządili za zastęgi ludzie z partyjnego klucza, teraz decyzje są racjonalne, gdyż znalazły się w rękach wybranych z konkursu technokratów. Tymczasem po upadku komunizmu doszło do negatywnej selekcji kadr decydentów, nie tylko w sensie fachowości, ale też postaw moralnych, w tym poszanowania interesu publicznego. Bez przyjęcia tego wszystkiego do wiadomości nie sposób jest ogarnąć nawet częściowo rozgrywającego się na naszych oczach najnowszego dramatu polskiej gospodarki, oraz - niestety - polskiej historii.

ROZDZIAŁ CZWARTY

WYMUSZONA RECESJA

*Dławiące gospodarkę, nigdy nie skorygowane błędne decyzje reformatorów,
są odpowiedzialne za wyprzedaż majątku za granicę, ponieważ jego zagospodarowanie przez krajowych
inwestorów okazało się niewykonalne*

W świetle poprzedniego wywodu może okazać się nie całkiem zrozumiałe, dlaczego to majątek narodowy poszedł głównie w obce ręce, skoro ceny jego sprzedaży były iście wyprzedażowe. Krajowych inwestorów powinno być stać na okazyjne zakupy kapitału, a jednak odeszli z kwitkiem. Stało się tak dlatego, że działania tego aparatu państwowego, który zaniżył ceny, nie dały krajowym kapitalistom szans konkurowania po przejęciu majątku z potężnymi niepolskimi rywalami.

Radość niszczenia

Żeby rozwikłać problem skąd się wzięło przejęcie kapitałowe przez zagranicę, trzeba wpieryw zrozumieć, co się stało z gospodarką po 1990 r., gdy Balcerowicz zdecydował się na swoją „terapię wstrząsową”. Przed 1990 r. przez kilka lat komunistyczna gospodarka parła do przodu w całkiem przyzwoitym tempie. Jak to się, więc stało, że nagle, w drodze z podrzędnego komunizmu do nadrzędnego kapitalizmu, którą ten człowiek wytyczył, gospodarka wpadła we wprost niespotykaną recesję.

Mimo że pochłoneła ona jedną piątą dochodu narodowego, dominuje niedorzeczny, wywodzący się z odpowiedzialnych za program reform tzw. liberałów, pogląd, że recesja, przypadająca na lata 1990-1992, nie zasługuje na to miano, gdyż jest fikcją statystyczną. Nie było żadnej recesji, ale tylko eliminacja zbędnych produktów. Produktów, które wytwarzano za komunizmu, mimo że nikt ich nie chciał; mimo to były corocznie wliczane do dochodu narodowego (Balcerowicz 1997).

Głównym powodem, dla którego partia/państwo za komunizmu dopuszczała do nadmiaru produkcji, była ponoć jej obsesja, żeby nie zważając na potrzeby społeczeństwa nieustannie zwiększać wskaźniki produkcji dóbr kapitałowych, tj. maszyn i urządzeń. Doszło, więc do tego, co się nazywa „nadmiernym uprzemysłowieniem”, wyrażającym się w większym procentowo udziale przemysłu w tworzeniu dochodu narodowego niż np. w wolnej od takiej obsesji Europie Zachodniej

Niepotrzebna produkcja była możliwa, gdyż partia/państwo szczerze subsydiowała producentów, którzy z racji nie-sprzedanej produkcji mieli deficyty. Ci producenci oczywiście marnowali zasoby pracy i kapitału, stąd zaordynowane w trakcie „terapii” Balcerowicza odcięcie subsydiów, nie tylko usunęło zbędną produkcję, ale uwolniło środki na wzrost potrzebnej produkcji. Mamy powód do radości, gdyż po odchudzającej kuracji, następuje zaraz ekspansja gospodarki.

Ponieważ recesja lat 1990-1992 uderzyła głównie w przemysł, zwłaszcza w dziedziny produkujące dobra kapitałowe, ich udział w dochodzie narodowym istotnie spadł. Mogłoby to być uznane za statystyczne potwierdzenie tezy o nadmiernym uprzemysłowieniu oraz za oczywistą oznakę postępu. Gdyby oczywiście nie fakt, że w wyniku recesji, oraz dalszych wydarzeń, udział tego działu kapitałowego - maszyn i urządzeń - spadł poniżej wskaźników zachodnioeuropejskich.

Kierując się tą logiką, należałoby dalej poprawiać strukturę polskiej gospodarki przez obniżenie produkcji w innych działach, które miałyby wyższy udział w tworzeniu dochodu narodowego niż w Europie Zachodniej. Gdyby w wyniku kolejnej „zdrowej”, usuwającej zbędną produkcję, recesji nastąpiło statystyczne przestrzelenie w jakiegokolwiek dziedzinie, należałoby zacząć usuwać stamtąd niepotrzebne nadwyżki, tym samym powodując kolejną - należy rozumieć fikcyjną - recesję.

To jest absurdalny sposób myślenia, gdyż nie jest możliwe, żeby Polska była nadmiernie uprzemysłowiona przez -ponoć nawiedzonych - komunistów. Żaden potrzebny - raczej już zbędny - ekonomista, nie mógłby, bowiem obronić tezy, że średniorozwinięta gospodarka polska, mogła cierpieć na nadmiar przemysłu, czyli dóbr kapitałowych. Odwrotnie, główny problem takiej gospodarki to niedostatek dóbr kapitałowych, stąd też potrzeba sięgania do ich przywozu z zagranicy.

Prawda jest taka, że jeśli w ogóle mówić o obsesji partii/państwa to wyrażała się ona w dławieniu produkcji

nieprzemysłowej, czyli usług. Uważano, że usługi nie dają produkcji, choć z czasem uznano, że ze względu na aspiracje ludzi trzeba tolerować ich rozwój. Skoro jednak problem polegał na niedorozwoju sektora usług, zamiast „poprawiać” proporcje gospodarcze niszcząc przemysł, należało tę strukturę najzwyczajniej zmienić, rozwijając sektor usług szybciej niż przemysł.

W taki sam, żaloszny sposób, załamują się inne elementy koncepcji recesji jako kuracji odchudzającej, jak choćby teza, że istnieje jakaś proporcjonalna zależność między zbędną produkcją a głębokością ponoć tylko statystycznego załamania w produkcji. Nie jest ona całkowicie pozbawiona sensu, gdyż jakaś produkcja za komunizmu była nietrafiona. Z pewnością mogło być jej nawet więcej niż w typowej gospodarce rynkowej, gdzie też nie wszystko w produkcji jest zgrane.

Trudno jednak na tej bazie poważnie dowodzić, że spadek polskiego dochodu narodowego o jedną piątą miał źródło wyłącznie w zbędnej produkcji. Żeby to było możliwe, przez cały okres komunizmu partia/państwo musiałyby gdzieś składować zbędne nadwyżki, czyli tą jedną piątą rocznej produkcji. Już po pięciu latach, nawet bez wzrostu produkcji, zgromadzone by góry wyrobów będące równowartością rocznego dochodu narodowego, a komunizm trwał trzydzieści pięć lat.

A w ogóle, to gdzie leżały te zwałowiska zbędnych samochodów, po które za komunizmu ustawiały się kolejki. Ich produkcja spadła w latach 1990-1992 o jedną trzecią; co roku, całymi latami, trzeba było, więc gdzieś co trzeci samochód składować. Albo gdzie gromadzono jedną piątą produkcji pilnie wtedy poszukiwanej żywności, gdyż ta po 1990 r. zmalała o jedną piątą. Co z dwoma trzecimi nieosiągalnych nowych mieszkań, skoro liczba ich po 1990 r. zmalała dokładnie o dwie trzecie.

Kuracja głodowa

Gdyby teoria fikcyjnej recesji była prawdziwa, wtedy podleczone banki oraz fabryki nadawałyby się szybko do przejęcia przez krajowych inwestorów. Ale oni wcale ich nie przejęli na własny użytek, więc musiała to być chyba autentyczna recesja, za którą stał prawdziwy spadek produkcji, głównie tej potrzebnej ludziom. Co więcej, za tą autentyczną recesją - właściwie katastrofą - musiała się kryć jakaś bardzo błędna polityka, czyli fatalnie chybiona terapia Balcerowicza.

Terapia Balcerowicza istotnie chybiła, gdyż została oparta na błędnym aksjomacie, że należy uruchomić wszystkie dostępne instrumenty państwa, by zdusić wysoką w 1989 r. inflację. Jednak walcząc z inflacją, żeby uniknąć recesji, zwykle rozluźnia się kredyt. W Polsce zaś cenę kredytu drastycznie podniesiono, a podaż kredytu ograniczono o jedną czwartą. Zabrakło nawet środków na prowadzenie tzw. bieżącej działalności, zakup materiałów czy opłacanie robotników.

Nie tylko gwałtownie wyschły źródła pieniądza, ale - też pod hasłem zwalczania inflacji - dopuszczono przez obniżenie stawek celnych do równie raptownego otwarcia gospodarki na import. Przed 1990 r. rynek krajowy był chroniony wysokimi barierami, podczas gdy nagle w latach 1990-1991 cła ustalono na poziomie zaledwie 6-8 procent (Kołodko 1999). W ten sposób, cała rzesza krajowych producentów została wypchnięta z polskiego rynku przez zagranicznych dostawców.

Kryzys płynności oraz jednoczesna utrata rynków, musiały podciąć gospodarkę, która zresztą już była w słabej kondycji. Nie należy się dziwić, że, mając przed oczami widmo bankructwa, krajowi producenci zaczęli ograniczać produkcję. W tych warunkach, lokalni inwestorzy mogliby się zaangażować w kupno zagrożonego bankructwem majątku państwa tylko gdyby byli pewni, że problemy z uzyskaniem kredytu czy sprzedażą w kraju będą tylko przejściowe.

Mogłoby się wydawać, że skoro po 1992 r. gospodarka zaczęła znowu iść do przodu, powinien rozbudzić się apetyt lokalnych inwestorów na trwałe przejmowanie majątku państwa. Niestety, zabójcza polityka Balcerowicza została w zasadzie utrzymana, z pewnością w sferze kredytu. Kredyt pozostał niezmiennie trudno dostępny oraz tak kosztowny, że nawet w tej chwili stopa procentowa w Polsce jest prawie trzy razy wyższa niż w krajach Unii Europejskiej.

Nie nastąpiła też żadna korekta jeśli chodzi o ochronę rynku wewnętrznego; odwrotnie, nie licząc pewnych krótkich okresów, utrzymano politykę redukcji barier importowych. Po radykalnej obniżce ceł na prawie wszystkie towary w 1990 r. nastąpiła w 1992 r. ich częściowa odbudowa. Ale zaraz potem wszedł niestety w życie układ z Unią Europejską, który zobowiązał Polskę, żeby w ciągu niespełna pięciu lat zrównała swe taryfy celne z bardzo niskimi cłami unijnymi.

Trzon niesprywatyzowanego - państwowego - majątku znalazł się, więc w stanie permanentnego kryzysu, jak w przypadku hutnictwa. Zaraz po 1992 r., radziło sobie nieźle, ale w miarę obniżek ceł, do zera, oraz licznych

zwolnień, import zdołał zalać już jedną trzecią rynku. Zaczęły się, więc kłopoty finansowe, zwłaszcza, że odbiorcy stali zaczęli zalegać z płatnościami. Na żadną z hut nie może porwać się krajowiec, ale obce koncerny prawie już zdobyły polski rynek, więc też się nie palą.

Polscy reformatorzy nie cofnęli się przed kompletnym odsłonięciem rynku stalowego, chociaż unijne państwa stosują skuteczne bariery w tej dziedzinie. Np. w użyciu są tzw. specjalne antidumpingowe cła, obejmujące 30 procent żelaza/stali i 44 procent produktów metalowych. Bariery używane są też w innych gałęziach przemysłu, stąd, podczas gdy oficjalna, średnio ważona skala ceł wynosi w całym przemyśle 5,1 procent, prawdziwa stopa jest bliższa 9 procent.

Skutki nagłego odsłonięcia się na bezlitosną konkurencję z importu dobitnie widać w rolnictwie. Rolnictwo znalazło się w trwałej zapaści w Polsce nie dlatego, że produkowało zbędne wyroby. Przeciwnie, produkowało wyroby potrzebne, świetnie radzące sobie na rynkach eksportowych, także dolarowych. Powód był inny: zalew produktów rolnych z Europy Zachodniej, połączony, na początku zmian ustrojowych, z bezpłatnymi dostawami „interwencyjnych” nadwyżek.

Podczas gdy Polska jest przymuszana przez unijną biurokrację do otwarcia swych rolniczych rynków, unijne rolnictwo jest nadal chronione przed importem jak dziesięć lat temu, czyli wyjątkowo szczerze. Np. producenci wołowiny korzystają z cła w wysokości 125 procent oraz z zakazu przywozu znacznie tańszej, hormonalnie hodowanej wołowiny z Kanady oraz ze Stanów Zjednoczonych. Z kolei, mleczne produkty obłożone są zaporowym cłem na poziomie 58 procent.

Co więcej, kraje unijne, tak w hutnictwie jak w rolnictwie, zachowały różne instrumenty wspomagania eksportu (np. tanie kredyty czy gwarancje kredytowe), z których Polska zrezygnowała. Skutki tego są widoczne zwłaszcza jeśli chodzi o wschodni kierunek handlu, szczególnie Rosję i Ukrainę. Polska była kiedyś na tych rynkach potęgą, w tym w żywności, a dzisiaj, głównie z wyboru, jest karłem, tracąc swą pozycję głównie wobec wspieranych przez państwa konkurentów z Unii.

Nieuczciwa walka

Wystawieni na miazdzącą konkurencję z importu oraz borykający się z brakiem kredytu, miejscowi inwestorzy mieli tylko jedną szansę w staraniach o państwowy majątek. Tą jedyną szansą byłaby dla nich polityka przemysłowa państwa wyrównująca warunki konkurencji o majątek z opływającymi w fundusze obce firmy będące źródłem importowego zagrożenia (patrz sugestie Kornaia, 1991).

Stało się jednak dokładnie odwrotnie - państwo przyjęło „politykę antyprzemysłową”.

Zamiast chronić lokalnych nabywców zniesiono jakiegokolwiek formalne wymogi dla zagranicznego udziału w prywatyzacji. To była dobrowolna decyzja polskich władz, nie mająca nic wspólnego z negocjacjami akcesyjnymi z Unią. Nie ma też precedensu wśród członków Unii znoszenia barier dla ruchów kapitałowych jeszcze przed formalnym przyjęciem (Austria do ostatniej chwili utrzymała ograniczenia wobec obcych inwestorów, np. w sektorze motoryzacji).

Zresztą, nawet jak się już jest członkiem Unii, przepisy zezwalają na wyłączenie ruchów kapitałowych z pełnej liberalizacji w ramach tzw. unii monetarnej. Dania zdecydowała się poczekać z przyjęciem wspólnej waluty, żeby dać swym bankom czas na konsolidację tak, by uniknąć obcych przejęć. Portugalia weszła do tego monetarnego reżimu, ale z podobnych powodów zaczęła pod nadzorem państwa szybką konsolidację różnych dziedzin, w tym też w swym sektorze bankowym.

Przy całym swym liberalizmie, Unia nie jest wcale obszarem całkowicie pozbawionym państwowej własności, także nie ma potrzeby sprzedawania na siłę wszystkiego co państwowe, żeby się „dopasować”. W Portugalii, kiedy przed niewielu laty wstępowała do Unii, publiczne banki stanowiły 80 procent, a teraz ciągle 45 procent. W Niemczech aż 40 procent sektora pozostaje w rękach państwowych (głównie w formie - nastawionych na wspieranie rozwoju - tzw. banków regionalnych).

To, że w Polsce nie wprowadzono żadnych reglamentacji, stanowi odchylenie od praktyk, jeśli nie wręcz norm zachodnioeuropejskich, ale w innych elementach obecne polskie podejście do obcego kapitału jest też dewiacją. Najbardziej chyba szokuje wczesna decyzja, żeby w polskich warunkach natychmiast wystawić na sprzedaż cały kapitał. W ten sposób powstała bowiem ogromna nadwyżka podaży majątku państwa nad efektywnym popytem ze strony lokalnych inwestorów.

Na dodatek zdecydowano się oferować majątek głównie tzw. inwestorom strategicznym, reflektującym na ponad 50 procent udziałów, gotowym do określonych nowych inwestycji. Kierowano się doktryną Balcerowicza (2000), że sprzedaż „rozproszona”, w mniejszych udziałach, nie zapewnia maksymalnej ceny, choć nikt w praktyce ich nie

maksymalizował. Ograniczeni finansowo polscy inwestorzy stali się jeszcze mniej zdolni do walki z obcym nabywcą.

Co więcej, krajowy inwestor prawie nigdy nie mógł liczyć na - finansowe - zachęty, oferowane obcokrajowcom, jak to stało się np. z bankami. Przez całe lata wymóg dotyczący rezerw bankowych ustalono na poziomie 30 procent, trzy razy wyższym niż w Unii. Podrożyło to koszty działalności banków, oraz cenę kredytu, tym samym obniżając rynkową wartość banków. Kiedy większość banków stała się już własnością zagraniczną, w 1999 r., wskaźnik rezerw w Polsce zrównano z unijnym.

Z kolei w przemyśle zagraniczni nabywcy zyskali zachęty w postaci często nawet dziesięcioletnich okresów zwolnień podatkowych, niedostępnych dla krajowców. Podczas gdy pierwsi zostali objęci zerowymi cłami na import maszyn i urządzeń, podobny przywilej nie objął jednak polskich nabywców majątku. Polscy właściciele nie mogą nawet marzyć o takim wsparciu w obliczu bankructwa jakie niedawno państwo obiecało upadającemu Żeraniowi, czyli koreańskiemu *Daewoo*.

Do tego wszystkiego, państwo zrezygnowało z jakichkolwiek ogólnie przyjętych w świecie wymogów wobec obcych inwestorów, oprócz tzw. obowiązkowych inwestycji. W większości przypadków te obowiązki nie były egzekwowane, gdyż chodziło jedynie o stworzenie wrażenia, że łączna faktyczna cena sprzedaży jest wyższa niż wpłata do budżetu. Zamiast sprowadzić dodatkowy kapitał z zagranicy, nabywcy z reguły sięgnęli do zysków wypracowywanych przez swe polskie nabytki.

Negocjując wysokość obowiązkowych inwestycji strona polska prawie nigdy nie domagała się żeby zagraniczny inwestor wprowadził konkretną technikę produkcji czy wyrób. Jakże inaczej zachowała się natomiast Irlandia, której polityka przyciągania obcych inwestycji - przypomnę, głównie na budowę nowych obiektów - nie polegała tylko na niskich stawkach podatkowych. Ważniejsze było to, że prawie bez wyjątku, można było inwestować tylko w dziedzinie „wysokiej” techniki.

Trudno o większy kontrast niż to, co się stało po otwarciu na obcy kapitał z elektroniką w Irlandii i w Polsce. W Polsce, dysponująca bardzo wykształconą kadrą elektronika padła właściwie z marszu, a obce firmy weszły głównie z własnym towarem. W Irlandii, ci sami producenci stworzyli od zera prężną branżę elektroniczną, podobnie jak w Finlandii, gdzie - też pod opieką państwa - taka silna branża, oparta w dużym stopniu na obcej kadrze, powstała w ciągu ostatnich paru lat.

Podsumowanie

Należy odrzucić kolejny popularny dzisiaj pogląd, mianowicie że dzięki reformom ustrojowym udało się od zaraz wyłączyć państwo z nadmiernej interwencji w gospodarce. Owszem, zrezygnowano z jawnej polityki przemysłowej, która zapewniała przemysłowi i rolnictwu nie tylko rozliczne subwencje ale i prawie pełną ochronę przed importem. W to miejsce wprowadzono jednak niejawną politykę przemysłową, tyle, że nastawioną nie na wsparcie własnych producentów, lecz obcych.

W zgodzie z logiką „terapii szokowej”, praktykowana za komunizmu polityka przemysłowa została rozmontowana w sposób radykalny; polska gospodarka została, więc wtrącona w całkowicie niepotrzebną, możliwą do ominięcia, głęboką recesję. Ponieważ polityka ochrony gospodarki nie została nigdy nawet częściowo zrekonstruowana, spowodowało to z kolei, że krajowi inwestorzy stali się niezdolni do przejmowania na trwałe państwowych fabryk i banków.

W tych warunkach jedynym sposobem na powstrzymanie zagranicznego przejęcia polskiej gospodarki było formalne wyłączenie obcych inwestorów z prywatyzacji, albo zaniechanie na pewien czas prywatyzacji w ogóle. Decyzja w tej sprawie należała wyłącznie do polskich władz, gdyż żadne ośrodki zewnętrzne, włącznie z Unią Europejską nie miały prawa zabronić takich wyborów. W każdym razie, żaden taki zakaz nie powinien nabrać mocy przed pełną akcesją.

Zamiast tych zakazów, w miejsce polityki popierania własnych inwestorów weszła polityka popierania obcych inwestorów, czyli właściwie „polityka antyprzemysłowa”. Nie chodzi o jakieś przypadkowe ruchy państwa, ale zupełnie spójne działania, których głównym przesłaniem stało się ułatwienie obcym producentom przejęcia rynków wewnętrznych. Albo - jako największy przywilej - taniego przejęcia krajowych producentów wraz z ich dawnymi rynkami zbytu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

LABIRYNTY KORUPCJI

Miejsca bardzo mocno już wyblakłego marksizmu nie zajęł bynajmniej wsparty na solidnej moralności liberalizm, ale rozpasany amoralizm, przyzwalający na gwałcenie interesu publicznego i omijanie prawa

Morderczy klimat dla krajowych inwestorów nie został nigdy skorygowany, gdyż nie chodzi o zwykłe błędy ze strony rządzących, ale o ich niezbyt nawet skrywane interesy własne. Komunizm zrodził się w nienormalnych okolicznościach przemocy, „niekompletny kapitalizm” powstaje zaś w warunkach nagminnej korupcji. Ze względu na uznaniowość oraz bezkarność, aparat państwa może naruszać cele społeczne, włączając wymogi uczciwej sprzedaży narodowego majątku.

Wspólna korzyść

Żeby zrozumieć rolę korupcji w prywatyzacji, a właściwie w całej transformacji, trzeba się cofnąć w czasie do późnego komunizmu i jego upadku. Obowiązuje proste rozumowanie, że komunizm upadł, bo musiał upaść, gdyż był z gruntu złym systemem. Gdyby jednak przyjąć takie proste myślenie, stajemy bezradni wobec następującej kwestii: jak to jest możliwe, że skoro system komunizmu był od początku uważany za zły, to, dlaczego ten zły system nie został odrzucony niejako od ręki.

Przyznam, że przez jakiś czas nie znajdowałem odpowiedzi, aż natknąłem się na tekst Kołakowskiego (1990), w którym rzucił on tezę, że komunizm skończył się powolnie przez upadek wiary w jego racje tak po stronie partii, jak i mas. Stwierdzenie takie wymagało dużej odwagi, gdyż sugerowało, że to nie jest tak, że tylko partia chciała kiedyś komunizmu a masy nigdy go nie chciały. Odwrotnie, obie grupy początkowo wspierały system a potem — znowu razem — go porzuciły.

Pozostała mi jednak niejasność, jakie racje weszły w miejsce dawnej wiary w komunizm - czy przypadkiem inna wiara, w inny system, czy raczej niewiara w nic, a tym samym przyzwolenie na nie-system. Ponieważ wiara w system zakłada spójność moralną, rozumianą jako sens interesu publicznego, nie było też jasne, czy w miejsce byłego porządku wszedł związany z innym systemem moralny porządek, czy też raczej nastąpiło podważenie interesu ogólnego, czyli demoralizacja.

Z czasem doszedłem do wniosku, że istotnie komunizm z początku miał ogólne poparcie, włącznie z moralnym przyzwoleniem na monopol władzy oraz rutynową przemoc. Tak jak w każdym porządku moralnym, bazą poparcia był sens publicznego interesu, któremu niewolny i brutalny system miał służyć. Ale z czasem nastąpiło przewartościowanie, tyle, że wraz z nim przyszła demoralizacja, zdefiniowana wyżej jako odejście od poczucia interesu publicznego.

Uznałem też, że tego zwrotu, rozumianego jednak nie jako równoczesny zanik wiary, ale jako demoralizacja, dokonała tak partia/państwo, jak i masy. Jeśli chodzi o kadry, to w pewnej chwili uznały, że komunizm daje im przywilej decydowania o losie mas, ale nie osobiste korzyści materialne. Kiedy górę wzięły względy prywatne nad publicznymi, kadry uznały, że można by pozbyć się komunizmu, ażeby zacząć się bogacić w dowolny sposób, również nawet w drodze korupcji.

Z kolei rządzeni uznali, że system, który zawsze dawał im duże poczucie bezpieczeństwa, w tym stałą pracę i sztywne ceny, również oferuje im tylko marne korzyści materialne. Choć nie na taką skalę jak rządzący, masy również zaczęły systematycznie pasożytować na państwowej gospodarce. Zwyciężył konsumeryzm, wraz z którym przyszło masowe wycofywanie się z politycznej aktywności, wraz z cichym przyzwoleniem na coraz bardziej widoczną korupcję władz.

Powyzszy zwrot dokonał się w Polsce w okresie Gierka, choć nie można za ten fakt winić jego osobiście czy też jego ekipę. Podobnie, nie można postawić takiego zarzutu ekipie Breżniewa, czy też jemu osobiście, choć pod jego władzą nastąpił taki sam zwrot w Związku Radzieckim (patrz Jowitt 1992).

A to dlatego, że komunizm miał w sobie od początku ziarno upadku, w tym sensie, że prędzej czy później musiało dojść do demoralizacji, czyli korupcji władz i obojętności ludzi.

U podstaw demoralizacji, jako odrzucenia interesu publicznego, leżała skrajna centralizacja władzy politycznej. Jeśli chodzi o samych rządzących, ogromna centralizacja zagwarantowała im nie tylko pełną swobodę działania,

ale i bezkarność, nawet w sytuacji łamania ustanowionego prawa. Stąd też w momencie, gdy kadry partyjne zdecydowały się zastąpić interes ogólny własnym, nie musiały obawiać się poważniejszych sankcji prawnych czy też kadrowej reprimendy.

Partyjny monopol władzy miał równie demoralizujący wpływ na rządzonych, gdyż uczynił ich w zasadzie bezradnymi. Uderzając w instytucje tzw. społeczności cywilnej, jak rodzina czy wspólnota, zatomił on rządzonych. Wszczepił im poczucie, że skoro ich głosy/czyny nie liczą się w ogólnym rachunku, więc lepiej wycofać się z życia publicznego. Rządzeni znaleźli dla siebie program zastępczy w formie ucieczki w życie osobiste i pomnażanie dóbr konsumpcyjnych. Fakt, że to właśnie demoralizacja partii i mas spowodowała, że komunizm - jak każdy inny system objęty demoralizacją - musiał upaść, nie został w pełni uświadomiony. W ostatnich latach komunizmu pełno było opozycyjnych ataków na korupcję, tyle że rozumiano przez nią nie tyle nielegalne korzyści materialne co fakt sprawowania władzy przez uzurpację. Krytyka dotyczyła, więc prawie wyłącznie rządzących, tak jakby rządzi, czyli większość nie cierpiała na tę dolegliwość.

Antykomunistyczna opozycja narzuciła koncepcję upadku komunizmu jako rewolucji mas walczących o inną wiarę, czyli moralność. To był ponoć proces, w którym rządzi jako moralni nosiciele zmian ulegli niejako przebudzeniu z letargu. Motywowane troską o ogólny interes masy eliminują, więc kierowaną przez wąskie interesy członków partię. Burząc mocno związane z nią pokłady korupcji, przebudzone masy gwarantują nastanie moralnego państwa.

Negatywny wybór

O tym, że uzdrawiająca państwo moralna rewolucja nie doszła do skutku, najlepiej świadczy fakt, że wraz z upadkiem komunizmu nie zaczęło się budowanie sprawnego państwa tylko niszczenie resztek, które zostały z dawnego państwa. Zamiast odnowy ducha publicznego, nastąpiła raczej dalsza demoralizacja, znowu tak za sprawą rządzących jak i rządzonych, tym razem zainteresowanych w osiągnięciu jak największych korzyści osobistych z podziału schedy po komunizmie.

Wraz z załamaniem komunizmu, pojawiła się niespotykana, można powiedzieć - „historyczna”, szansa, przed którą chyba nigdy wcześniej nie stało prawie żadne państwo w historii. Raptem w rękach rządzących znalazła się do podziału nie jak za komunizmu roczna produkcja, ale zakumulowany przez dziesięciolecia narodowy kapitał. W ten sposób, teraz za kapitalizmu, uległy zwielokrotnieniu możliwości zaspakajania własnych korzyści dla ludzi aparatu państwa.

Pokusa była przy tym wyjątkowo ogromna, gdyż pozostawiony przez komunizm ogromny zasób kapitału był tak jak za komunizmu nadal swego rodzaju mieniem porzuconym. Za komunizmu kapitał był faktycznie niczyj, ale nie na sprzedaż, teraz ten kapitał, ciągle niczyj, mógł stać się przedmiotem sprzedaży. Dysponenci mogli, więc potraktować prywatyzowany majątek narodu jako bezpański i nie przejmować się ustaleniem jego faktycznej wartości ani ściąganiem zań pełnych cen.

Nic, więc dziwnego, że prywatne interesy rządzących, czyli korupcja stała się motorem całej ustrojowej transformacji, w tym wyboru jej modelowej koncepcji przejścia z komunizmu do kapitalizmu. Ten fakt, sam w sobie, dokładnie tłumaczy dlaczego wraz z upadkiem komunizmu, głównym celem władz, już nie starego partii/państwa ale nowego państwa bez partii, stało się nie dbanie o ogólny dobrobyt ale o grabież odziedziczonych zasobów majątku.

Nie mogło być inaczej, gdyż dla zainteresowanego własnymi korzyściami aparatu państwa wybór czym się zająć, produkcją czy rozdziałem, zależał głównie od tego, która z tych sfer dawała większe możliwości nadużyć. Przynajmniej początkowo, gdy zasoby majątku zastane po komunizmie były pilnowane przez załogi, nielegalne spijanie zysków z państwowej produkcji nie mogło dorównać prowizjom z ewentualnego rozdziału majątku państwa, z którego szła ta produkcja.

W ten sposób, porzucony został nie tylko model państwa z czasów właśnie pogrzebanego komunizmu, ale też model nowoczesnego państwa w ogóle. Przy wszystkich swoich ekscesach, państwo za komunizmu reprezentowało wspólny model państwa interwencyjnego, dbającego o produkcję. W polskiej drodze do kapitalizmu dokonał się regres nie tylko ze względu na wyłączenie z kapitału całego narodu, wraz z rządzącymi, ale też dlatego, że nagle państwo niejako porzuciło naród.

Korupcja podyktowała nie tylko wybór podziału zasobów kapitału w miejsce wspierania produkcji, ale zdeteminowała też wybór sposobu - metody - zmian własnościowych. Żeby zmaksymalizować możliwości korupcyjnych korzyści konieczne było przede wszystkim wyłączenie z prywatyzacji innych potencjalnych stron. Innymi słowy, ważne stało się, żeby przynajmniej w tej dziedzinie zapewnić daleko idącą autonomię państwa,

charakteryzującą system komunizmu.

To tłumaczy, dlaczego szybko wykluczono samoprywatyzację przez załogi - robotników i dyrekcję - rozstrzygając niejasności z okresu komunistycznego tak, że majątek trwały uznano nie za własność ogólną, ale jako prawnie należny państwu. Korupcją został też podyktowany wybór sprzedaży majątku jako głównego kanału prywatyzacji. Porzucono bezpłatne rozdawnictwo majątku, gdyż nie gwarantowało ono państwu prowizji na tym poziomie co jego sprzedaż.

Stąd wzięła się napaść tzw. liberałów na popierane przez dawne „niezależne” związki rozdawnictwo, że równo dzieląc kapitał między obywateli, czy nawet tylko wśród załóg, doprowadzi się do wypaczenia kapitalizmu. Nie ma wątpliwości, że taki kapitalizm, nazywany przez jego zwolenników „kapitalizmem demokratycznym”, byłby wypaczeniem. Tyle, że obrany przez państwo wariant sprzedaży też groził wypaczonym kapitalizmem, bez lokalnej własności kapitału.

Z myślą o maksymalizacji prowizji został rozstrzygnięty kolejny podstawowy wybór w sprawie modelu prywatyzacji, mianowicie podjęto decyzję żeby przeznaczyć na sprzedaż jak najwięcej z dostępnych środków trwałych w jak najkrótszym czasie. Gdyby nie pogoń za łatwymi prowizjami aparat państwa wybrałby wolne tempo dystrybucji majątku sprzedaży. Tak, by mieć czas na prawidłowe przygotowanie majątku do oficjalnych przetargów oraz staranną selekcję ofert.

Tak, więc, prywatyzacja zamiast uzdrowienia państwa, odebrała mu na stałe kontrolę nad zasobami oraz dała okazję do nadużyć, stała się sama głównym źródłem dalszego jego rozkładu. Fakt, że w wyniku prywatyzacji państwo w ostatecznym rachunku traci swe zasoby nie miał już większego znaczenia dla jego moralnego stanu. Pozbawione resztek przyzwoitości państwo nie jest zdolne do własnej odnowy, a tym bardziej do zaszczepiania poczucia interesu ogólnego.

Potęga korupcji

Teza, że korupcja stała się napędową siłą prywatyzacji, a tym samym całej transformacji, mogłaby się oczywiście komuś nie spodobać, no bo gdzie są prokuratorskie dowody. Gdzie są dowody na to, że prywatyzatorzy rzeczywiście przed sprzedażą dopuszczają do załamania banków czy fabryk. Albo, gdzie są namacalne dowody, że w przypadku jakiegoś banku czy fabryki, ktoś rzeczywiście wykorzystał nadarzącą się okazję, żeby zaniżyć cenę majątku dla własnej korzyści.

Ktoś by mógł rzec, że przedstawione wcześniej wyliczenia na temat skandalicznie zaniżonych wycen to nie dowód na korupcję, gdyż gdyby to była prawda to mielibyśmy do czynienia z nie kończącymi się procesami nieuczciwych decydentów. Tyle, że w Polsce, nie mówiąc o Rosji, wymiar sprawiedliwości jest absolutnie niesprawny. Wykroczenia prywatyzacyjne zwykle nie są ścigane, a nawet jeśli dochodzi do rozpraw sądowych, sam wynik procesu zwykle bywa do kupienia.

Może u kogoś pojawić się inna wątpliwość, czy istotnie korupcja państwa *rządzi* sprzedażą majątku, gdyż nie bardzo wiadomo dlaczego korupcja miałaby prowadzić do *zaniżania* cen. Gdyby ceny były sztucznie zniżone potencjalni nabywcy zaczęliby walkę między sobą. Zadziałałby więc rynek, czyli prawo popytu i podaży. Pod wpływem nadmiernego popytu musiałyby podnieść się ceny podaży majątku, na tyle że ostateczny nabywca zapłaciłby jego pełną wartość rynkową.

Tam, gdzie *rządzi* korupcja, nie *rządzi* jednak żaden rynek, ale zmowa, w której sprzedający decyduje o tym kto dokładnie dostanie majątek. Po to, żeby zaoferować *zaniżoną* cenę oraz wyciągnąć łapówkę, taki urzędnik ma tylko jedno wyjście, mianowicie uniemożliwić szeroki dostęp do przetargu na majątek kupującym. Innymi słowy, jedyną naprawdę zgodną z logiką korupcji strategią sprzedaży majątku stał się, jak już sugerowałem, fałszywy przetarg z „gwarantowaną” wypłatą.

Właściwie to chodzi o wielostopniowy proceder, w którym potencjalni nabywcy zagraniczni najpierw na zasadach rynku walczą, żeby z pomocą firm doradczych dotrzeć do odpowiednich urzędników. Najszybszy lub najhojniejszy z walczących wygrywa, po czym następuje nierynkowy przydział. Wytypowany kontrahent ma już zapewniony kontrakt, a inni inwestorzy stanowią tylko parawan albo służą jako gwaranci na wypadek jeśli taki „robiony bieg” nie zadziała od razu.

Ale nawet jak uporamy się z tymi dotyczącymi wyceny, ktoś mógłby kwestionować czy istotnie korupcja *rządzi* wszystkim, bo gdyby to była prawda to bezkarni sprzedający sami przyjąłby za bezcen majątek zamiast oddawać go obcym nabywcom. Takiej alternatywy jednak nie było, gdyż - ze względu na wspomniany wcześniej tragiczny stan gospodarki - żadni krajowi pretendenci, włącznie z decydentami, nie mogli marzyć o osiągnięciu trwałych zysków z przejętych obiektów.

Do tego dochodzi fakt, że urzędnicy dysponujący majątkiem nie byli zainteresowani zagarnięciem fabryk czy banków na stałe, nawet gdyby miały przynieść dobre zyski. Nie marzyli o zostaniu kapitalistą, nie tym z marksowskiej groteski, ale ciężko pracującym i pilnie oszczędzającym osobnikiem. Pragnęli oni głównie zdobycia łatwego pieniądza i dostępu do rozrzutnej konsumpcji, żeby odbić sobie do woli młode lata, które ponoć podle im zmarnował siermiężny komunizm.

Nawet gdyby się zgodzić z powyższym, pozostaje kolejna wątpliwość, że skoro sami sprzedający nie mieli ochoty na przejście na własność prywatyzowanego kapitału, dlaczego wybrali z reguły obcych zamiast lokalnych nabywców. Nie można dowieść przemożnej roli korupcji, dopóki się starannie nie wyjaśni, dlaczego nieuczciwi urzędnicy mieliby wzgardzić łapówkami oferowanymi ze strony lokalnych inwestorów na rzecz prowizji płynących od ich zagranicznych rywali.

Można by na to odpowiedzieć, że słabsi finansowo lokalni inwestorzy nie mogli przebić zagranicznych, ale to nie jest koniec sprawy. Zresztą, ponieważ łapówki płacone za darmowy majątek były marne, jak zasiłki, nie wydaje się żeby kwestie finansowe były tutaj najważniejsze. Istotnie, wybór padał głównie na zagranicznych nabywców, gdyż okazali się lepiej przygotowani niż krajowcy do działania w warunkach chronicznej korupcji jaka zapanowała w Polsce.

Trzeba pamiętać, że korupcja to świat ciemnych zakulisowych konszachtów, więc żeby w nim sobie radzić, nie tak jak na rynku - w pełnym świetle - trzeba opanować specjalne reguły. Jedną z nich jest, żeby nielegalnie układające się strony, bez możliwości odwołania się do prawa, mogły sobie ufać. Obcy nabywcy okazali się bardziej godni zaufania od krajowych pretendentów, gdyż przyjęli wypróbowaną zasadę, że należy bezwzględnie wywiązywać się z przyjętych zobowiązań.

Zagraniczni nabywcy okazali się nie tylko bardziej wiarygodni jeśli chodzi o warunki szemranych umów, ale byli też w stanie bardziej skutecznie podporządkować polskich urzędników. Przyjęli zasadę opłacania wszystkich rywalizujących frakcji decydentów i to na jak najwyższym szczeblu. Zabrali się też do skrupulatnego zakładania kompromitujących dossier na wypadek wyłamania się zamieszanych w afery, co przemieniło Polskę w prawdziwie egzotyczną „krajną teczkę”.

Podsumowanie

Nie ma, jak widać, innego wyjścia jak odrzucić kolejny wyjątkowo niedorzeczny pogląd na temat reform, że najlepszą gwarancją na szybkie usprawnienie systemu było masowe wpuszczenie obcych inwestorów, z ich większym doświadczeniem rynkowym i szacunkiem dla prawa. Z pewnością prywatyzacja majątku, który przechwycili obcy nabywcy, nie dostarcza na to dowodów, odwrotnie, w procesie zakupu zaczęli bezpardonowo gwałcić prawa rynku i nagminnie łamać prawo.

Trudno się temu dziwić, gdyż wśród zagranicznych inwestorów zainteresowanych sprzedawanym majątkiem przeważały korporacje międzynarodowe. Mają one wyjątkowe doświadczenie robienia interesów w warunkach upadłego państwa, gdyż nie działają tylko w rozwiniętych krajach, jak Unia, gdzie korupcja jest raczej marginesem. Korporacje międzynarodowe są również głęboko zakorzenione w gospodarkach zacofanych, gdzie korupcja jest sposobem przetrwania.

Komparatywna (= względna) przewaga zagranicznych korporacji w korupcji obróciła się zresztą nie tylko przeciw krajowym inwestorom, kapitalistom, ale też przeciw samemu aparatowi państwa. Pierwszych wykluczyły one z procesu prywatyzacji majątku a drugich, czyli samo państwo, jego sprzedających decydentów, mimo że ci dostarczyli im ten majątek - niejako na talerzu - za ułamek realnej wartości, korporacje skłoniły do przyjęcia bardzo marnych łapówek.

Najlepiej jest przekonać się o tym, jak dalece obcy inwestorzy górowali nad sprzedawcami majątku przez zestawienie ukrytych korzyści nabywców z ukrytymi prowizjami dla urzędników. Prowizje można szacować na 2-4 procent wpływów z prywatyzacji równych 18-23 miliardów dolarów. Chodzi o 0,4 do 0,5 miliarda dolarów, co stanowi tylko pół procent 216 miliardów dolarów kapitału, który na czysto - po odliczeniu cen — zyskali zagraniczni nabywcy w zamian za łapówki.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

HANDLARZE ZŁOMEM

Z nadgorliwego apologety komunizmu inteligentna elita przekształciła się w jego najbardziej zdeterminowanego przeciwnika, żeby następnie zostać poplecznikiem innej dewiacji - kapitalizmu z obcym kapitałem i lokalną pracą.

Państwo nie jest anonimowe, a władza jest personalna, więc nie powinno być kłopotu z wyjściem poza ogólną analizę mechanizmów wyprzedaży majątku i ustaleniem jakie siły polityczne wykonały tę operację. Jako ekonomista nie powinienem wchodzić na teren, który należy do politologów, ale ci nie są skorzy do udzielenia odpowiedzi. Choć odpowiedź jest prosta, mianowicie, że wszystkie dotąd rządzące ośrodki przyłożyły się do tej wyprzedaży, tyle, że w nierównym stopniu.

Siła przewodnia

Szukając politycznych sił związanych z wyprzedażą majątku należy zacząć od analizy głównych grup interesu oraz ról, które te grupy wzięły na siebie w procesie wywłaszczenia. Kiedy się spojrzy na ten proces z tej perspektywy, wyłania się obraz przechodzenia do kapitalizmu, które stanowi wynik konfliktu dwóch grup. W jednej znaleźli się ci, którzy przy okazji chcieli po prostu zostać sami kapitalistami a w drugiej ci, którzy myśleli raczej o innych korzyściach niż kapitalizm dla siebie.

Sądząc po wynikach, czyli wywłaszczeniu kapitału na rzecz zagranicy, w tym konflikcie grup interesu prawie natychmiastowe zwycięstwo musiały odnieść nie te kręgi, które były zainteresowane przejmowaniem kapitału, by zostać produktywnym kapitalistą. Były to raczej kręgi, które wykorzystały władzę by stać się „pośrednikami” w wyprzedaży majątku w obce ręce. Wszystko z myślą o zaspokojeniu swych zgoła niekapitałistycznych potrzeb, czyli wybujałej konsumpcji.

Za tym zwycięstwem kryje się przede wszystkim zaskakująca wygrana stosunkowo mało liczebnej grupy, mianowicie trzonu inteligencji, prawie wyłącznie miejskiej. Ukształtowana w dużym stopniu przez opozycję wobec komunizmu grupa ta nie zdobyła sobie wielkiego wyborczego poparcia. Mimo braku tego poparcia, proces reform został podporządkowany tej grupie pozbawionej niestety bezpośredniego interesu w przywróceniu kapitalistycznej produkcji.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że główne inteligentne środowiska przyłączyły się do opozycji wobec komunizmu nie z potrzeby kapitalizmu, czyli chęci stania się samemu kapitalistami. Chodziło im raczej o poszerzenie sfery wolności, często traktowanej jako wyższe dobro, samo w sobie. Dopisano do tego misję, żeby wzorem polskiej przeszłości nieść wolność ogółowi, choć nie było dla tych inteligentnych kręgów do końca jasne jak należy dokładnie rozumieć sens wolności.

Inteligentne starcie ze skazanym na upadek komunizmem nie miało jednak charakteru wyłącznie ideowego, gdyż doszły do tego silne interesy osobiste, tym większe im bliżej znaleźli się ośrodków władzy. Z tegoż dokładnie powodu, gdy doszło do wyboru modelu prywatyzacji, środowiska inteligentne użyły swoich wpływów nie dla zagarnięcia kapitału na własny użytek, bo go raczej nie chciały dla siebie. Użyły tych wpływów w tym celu, żeby z korzyścią własną sprzedać kapitał innym.

Na wyborze modelu prywatyzacji zaciążyła też typowa dla polskiej inteligencji awersja wobec charakterologicznie odmiennych kapitalistów, tyle, że tym razem przyjęła ona szczególną formę.

Jej potępienie spadło nie na wszystkich kapitalistów, ale wyłącznie na miejscowy żywioł kapitalistyczny. Żywioł ten uznano za zbyt prowincjonalny, żeby sobie poradził we współczesnym - globalnym - kapitalizmie, w ich miejsce powinni, więc przyjść światowcy z zagranicy.

Z powyższego rozumowania inteligentne środowiska zdołały wyeliminować względy moralne, które mogłyby sugerować, że prowincjonalni czy nie, krajowcy mają prawo do własności tego co wypracowali bardziej niż ktokolwiek inny. Za tym kryło się ogólniejsze przekonanie tych kręgów, że nie należy mieszać kapitalistycznego rynku z tradycyjną moralnością, lub inaczej - ekonomii z socjologią. Zinterpretowali wolność gospodarczą jako formę społecznego nihilizmu.

Miało to niemałe znaczenie praktyczne, gdyż, zanegowanie moralności, jako bazy nie tylko rynku, ale każdej społecznej instytucji, stało się wygodnym usprawiedliwieniem dla sprzedaży ogólnego majątku bez oglądania się na prawo. W ten sposób, przynajmniej w ich oczach, dopuszczalna stała się powszechna praktyka *zaniżania*, cen w celu uzyskania prowizji przy zmianie właściciela zasobów kapitału z organu państwa na prywatną osobę, czyli na zagranicznego rezydenta.

Żadna inna grupa społeczna otwarcie nie przyjęła tej filozofii, nie wszystkie jednak rzuciły wyzwanie inteligencji. Niektóre z nich wręcz związały się z tymi kręgami w celach sprawowania władzy, chodzi głównie o robotników z dawnej opozycji - nielegalnych związków. Część tej grupy zawsze chciała, żeby kapitał został rozdany czyniąc kapitalistów ze wszystkich. Ale jej trzon szybko przesunął się w stronę wyprzedaży zagranicy za korzyści własne, czyli preferencyjne akcje.

To te dwie grupy, bez ambicji stania się kapitalistami, a w pewnym sensie nawet anty-kapitalistyczne, solidarnie, wykluczyły z gry o narodowe zasoby lokalne grupy, które chciały kapitalizmu dla siebie, czyli prokapitalistyczne. Co zakrawa na ironię, wśród pokonanych znalazła się jedyna *ważna* grupa, która za komunizmu zachowała własność — chłopi. Z tego tytułu byli bowiem wyjątkowo przygotowani do wykorzystania możliwości jakie daje normalny - ludzki - kapitalizm.

Narzucona przez inteligencję, jako „siłę przewodnią”, wyprzedaż w ręce zagraniczne zostawiła też na lodzie inną, tyle, że znacznie mniej zasobną, pozostałość po kapitalizmie, mianowicie wywłaszczonych po wojnie przedsiębiorców i kamieniczników. Jediną szansą była dla nich reprivatyzacja przeprowadzona na tyle szybko, żeby ich zagarnięta własność nie została ponownie zagarnięta, tym razem przez zagranicznych inwestorów; do takiej reprivatyzacji nigdy nie doszło.

Wśród wyłączonych *znaleźli* się też dotychczasowi komunistyczni dyrektorzy banków i fabryk, którzy w przeciwieństwie do przedwojennych właścicieli zebrali bogate doświadczenie w *zarządzaniu* kapitałem. Sądząc po krajach rozwiniętego kapitalizmu, stanowili oni grupę najlepiej przygotowaną do przejmowania kapitału, ale odebrano im tę szansę argumentując, że jako związani z komunizmem nie mają do tego moralnego tytułu, ale mają go obcy nabywcy bez pytania o przeszłość.

Propaganda wyprzedaży

Kiedy się czyta powyższy opis swoistego „konfliktu klasowego” w którym grupy zainteresowane kapitałem ścierają się z tymi, którzy go nie chcą, rodzi się pytanie co to takiego pozwoliło trzonowi inteligencji stać się „siłą przewodnią” rodzącego się „niekompletnego kapitalizmu”. Przecież, inteligencja była nie tylko słaba liczebnie ale jej ewentualne korzyści z wywłaszczenia na rzecz zagranicy - prowizje - błady w porównaniu z tym co mieli finansowo do zyskania lokalni nabywcy.

Kręgi inteligentkie wygrały, głównie dlatego że przejęły z komunizmu najważniejszy instrument władzy, czyli środki przekazu. Nie chodzi o to, że pojawił się jeden organ, ale o to, że najbardziej wpływowe media, choć wolne od państwowej cenzury, przyjęły tę samą generalną linię programową.

Z wymianą redaktorów naczelnych nastąpiła niesłychana wulgaryzacja mediów, powrót do wczesnych wzorów komunistycznych, gdy demolowano tzw. wrogów klasowych.

Wykonując wyrok na sobie, inteligencja stoczyła się z obrońcy wyższej kultury do nosicielki anty-kultury, ale jednocześnie zyskała szansę bardziej skutecznego narzucenia społeczeństwu fałszów wspierających wyprzedaż majątku. W tym kłamstwa, że komunizm zostawił gospodarke w tak kiepskim stanie, że fabryki i banki to złom, który powinien zaraz *znaleźć* solidnego użytkownika - najlepiej cudzoziemca. Oraz, po cenie złomu, żeby broń boże się nie rozmyślił.

W jednej, wspartej przez media, wersji stwierdza się, że odziedziczono złom, gdyż komunizm doprowadził do kompletnego fizycznego zużycia majątku trwałego. Wskaźniki zużycia są rzeczywiście wysokie, co nie zmienia jednak faktu, że niezużyta - aktywna - część polskiego majątku ciągle była bardzo dużo warta. Innymi słowy, ile by nie było tego złomu w postaci zużytych maszyn, nie miało to wcale wpływu na wartość sprzedawanych niezużytych maszyn.

Zgodnie z inną wersją, kiedy upadł komunizm, upadła też produkcja, więc ile by nie włożono kiedyś w budowę zakładów czy organizację banków dla nabywcy, to niewiele znaczyło, bo liczą się tylko zyski z przyszłej produkcji. Nie wiadomo jednak, dlaczego początkowe załamanie produkcji miałyby przekonać potencjalnych nabywców, że przyszłe zyski też będą marne. Jak gorliwie podają te same media, zaraz po załamaniu produkcji oraz zyski zaczęły przecież szybko rosnać.

Najlepiej widać zabiegi środków przekazu na przykładzie poszczególnych sektorów, jak choćby finansów. Ile

razy zaczynają się przygotowania do sprzedaży banków, pojawiają się lamenty, że tak źle działają bo np. wieki trwa realizacja zwykłego czeku. Od czasu to czasu do rangi niezwykłego wydarzenia urasta też informacja na temat bankructwa jakiegoś krajowego banku, tak jednak małego, że mało kto o nim kiedykolwiek słyszał, a jeszcze mniej miało z nim do czynienia.

Kiedy jednak trzeba pochwalić tzw. liberalnych reformatorów, że ci ratują bankowość, tak jak inne wystawione pod młotek sektory, ton mediów się zmienia. Nagle okazuje się, że od 1994 r., przed falą wyprzedaży, gdy rząd oddłużył banki w formie obligacji, stały się one najbardziej zyskową dziedziną gospodarki. Nie tylko, że wyróżniają się na tle zbankrutowanych banków czeskich, czy tych rosyjskich - mafijnych, ale mają wyniki finansowe lepsze od banków unijnych.

Urabianie opinii przez środki przekazu okazało się na tyle skuteczne, że mało kogo zdziwiło, że zdrowe banki — z aktywami rządu aż 90 miliardów dolarów - po 1994 r. zostały prawie w całości sprzedane zagranicy za 3 miliardy dolarów, czyli za darmo. Gdyż dokładnie tyle państwo wypłaci bankom do 2004 r. z budżetu w formie oprocentowania wspomnianych oddłużeniowych obligacji, które wraz z innymi aktywami przeszły w ręce nowych zagranicznych właścicieli. Gdyby jednak ktoś śmiał się sprzeciwić tego rodzaju wywłaszczeniowej operacji, media mają nań repertuar niewybrednych ataków. Gdyby, na przykład, ten ktoś wspominał, że nie należy chyba wszystkiego wyprzedawać zagranicy, dopadną go oskarżeniem, że jest szowinistą. Nigdy jednak dotąd nie przyszło ludziom mediów do głowy, by użyć jakiegoś odpowiedniego określenia na tych, którzy myślą, że najlepiej będzie wtedy jak w polskich rękach zostanie nic, ino sznur.

Na śmiałka, który z kolei zechciałby kwestionować ceny, po których majątek jest upłynniany, środki przekazu mają inną inwektywę. Na temat zaniżonych cen może bowiem rozprawiać tylko osobnik, który ma jakieś złudzenia na temat tego, że komunizm był w stanie stworzyć coś więcej niż złom. Z rozpędu, taki krytyk wyceny majątku, może nawet oberwać od maszyny jako nieżyłowy sympatyk pokonanego komunizmu, czy - zgoła pogardliwie - jako komuch.

A prawda jest taka, że jeśli można w ogóle mówić o złomie w kontekście polskiej prywatyzacji to nie tak jak sobie życzą główne środki przekazu, że zastany kapitał był wart tyle co złom, ale że ten kapitał został potraktowany jak złom. Z pomocą środków przekazu sprzedano banki i fabryki, właściwie to całą Polskę w cenie złomu, rękami ludzi, których ominęły dotąd epitety. Z racji charakteru ich zajęcia należałoby od zaraz zacząć ich nazwać „handlarzami złomem”.

Zgrana władza

Inteligencji nie mogło wystarczyć samo przejęcie kontroli nad mediami. Żeby zdobyć władzę, potrzebowała ona też politycznej organizacji do realizacji swych celów. Stała się nią z początku Unia Demokratyczna, potem przemianowana, w tym samym duchu orwellowskiej nowomowy, na Unię Wolności. Nie mógł to być żaden innych duch, gdyż nikt inny poza tą partią nie zaangażował się

z podobną siłą w pozbawienie ogółu ludzi bazy, na której opiera się wolność, czyli ich własnego kapitału.

Unia przejęła ster władzy pierwsza, w 1989 r., ale nie bez wsparcia ze strony niezależnych związków zawodowych, głównie robotniczych. Był to stosunkowo zrozumiały sojusz, gdyż obydwie siły miały ten sam polityczny rodowód, antykomunistyczną opozycję. Byłe związki były dostatecznie silne, żeby wziąć rządy we własne ręce, ale ich kierownictwo postanowiło stronić od polityki. Zdecydowano, że w imieniu dawnej opozycji zmianami ustrojowymi pokieruje inteligencja.

Korzystając z wyjątkowej okoliczności, że trzeba było od podstaw sformułować program reform, Unia, z Balcerowiczem, podjęła się tego dzieła. Gdy w 1991 r., w miejsce rządu, w którym przypadły mu finanse, przyszedł następny, też z Unią, ale bez Balcerowicza, ruszyła integracja, z inną Unią, Europejską. Już wtedy było jasne, że główną techniką tej partii będzie radykalna sprzedaż inwestorom zagranicznym pod presją najprzeróżniejszych formalnych wymogów związanych z integracją.

Nie tego spodziewali się robotniczy sojusznicy, gdyż liczyli na to, że albo majątek zostanie w rękach państwa, tyle, że będzie zarządzany zgodnie z interesem robotników, albo, że zostanie rozdany wszystkim. To był tylko jeden z powodów do narastających zatargów w rządach byłej opozycji; innym był fakt, że nie doszło do obiecaney poprawy gospodarczej. Zaczął się natomiast okropny kryzys lat 1990-1992, który uderzył głównie w państwowy przemysł, czyli w bastion robotników.

Sytuację tę wykorzystwały, odsunięte od władzy, partie wywodzące się z dawnego okresu tak,

że w wyborach 1993 r. kontrolę nad gospodarką przejęła koalicja Sojuszu Lewicy Demokratycznej oraz Polskiego Stronnictwa Ludowego. Nastąpił głęboki zwrot, gdyż zamiast żyć widmem komunizmu, jak była antykomunistyczna opozycja, koalicja zajęła się widmem kapitalizmu. Zdecydowała, że od ostrej walki o reformy ważniejsza jest walka z ostrym kryzysem gospodarki.

To dlatego pod rządami tej koalicji doszło do wyhamowania tempa prywatyzacji, jak to mówili wtedy odsunięci od steru ludzie Unii - prawie o połowę. Zamiast na siłę sprzedawać majątek państwa, lewicowa koalicja zaostrzyła nadzorczą kontrolę nad sektorem państwowym oraz wprowadziła zmiany w przepisach - zwane komercjalizacją. Miały one zwiększyć kompetencje państwowej dyrekcji, tak by zbliżyć warunki jej działania do sektora prywatnego.

Choć doszło do potrzebnego zwolnienia tempa transferu majątku za granicę, dopuszczono do kilku nierozważnych sprzedaży, np. całego sektora cementowego oraz wyrobów tytoniowych. Ważniejszy jest jednak fakt, że rządy lewicowej koalicji stanowią jedyny okres, kiedy świadomie starano się skierować kapitał głównie w ręce krajowe. Na ten okres przypadł rozwój krajowych tzw. holdingów w przemyśle, których zarządy znalazły się głównie z rąk byłej partyjnej nomenklatury.

Świadoma tego, że żadne preferencje dla krajowych nabywców na nic się nie zdadzą ze względu na narzucone Polsce pod rządami Unii Wolności zobowiązania otwarcia gospodarki na obrót towarem i kapitałem, koalicja podjęła jedyny jak dotąd krok, który mógł uratować kraj przed wywłaszczeniem. Podjęto próbę stworzenia zapory w postaci zgrupowanych wokół państwowych banków oraz ubezpieczyciela -monopolisty nowego typu holdingów - ale program ten szybko ugrzązł.

Trudno jest te wszystkie fakty zaakceptować byłej opozycji antykomunistycznej, jak również prawicy jako takiej, gdyż żyje ona obrazem partii z okresu komunistycznego jako sił antypolskich. Z tych samych powodów prawicowe partie niechętnie mówią o własnych dokonaniach po 1997 r., kiedy na zasadzie rykoszetu wyrwały władze lewicowej koalicji. Mają do tego realne powody, gdyż największą wyprzedaż zagranicą dokonały te właśnie siły, programowo narodowe.

Najbardziej szkodliwym aktem prawicy było przekazanie w ręce zagraniczne całego systemu finansowego, który obraca pieniądzem, dzięki któremu - z kolei - obraca się rynek. Kiedy odchodziła lewicowa koalicja, udział obcego kapitału w bankach wynosił poniżej 20 procent. Dzięki prawicy ten udział podniósł się do wspomnianych wcześniej 75 procent. Co więcej, lewica trzymała większość ubezpieczeń w gestii krajowej, gdy za sprawą prawicy są one już głównie w obcych rękach.

Szczególną rolę w tej prawicowej koalicji odegrała Unia, gdyż znowu na zasadzie tzw. pasa transmisyjnego z komunistycznych czasów, gdy związki szły za partią, związkowy trzon AWS lub Akcji dał gospodarkę Unii, czyli Balcerowiczowi. Zaczął swe rządy od decyzji, żeby bez żadnej zwłoki sprzedać zagranicą pozostałe banki. Ale gdy Unia, wraz z nim, wyszła z koalicji, orgia wyprzedaży się nie skończyła, o czym świadczy m.in. ostra „walka” rządu Akcji o niepolski cukier.

Podsumowanie

Nie da się więc utrzymać ogólnie przyjętego poglądu, mianowicie że główną przeszkodą w budowie kapitalizmu od początku były przeżytki komunistycznego myślenia reprezentowane przez siły polityczne sprzed upadku komunizmu. Jest w tym trochę racji, gdyż istotnie intelektualna spuścizna z dawnego okresu boleśnie odbiła się na zmianach ustrojowych, tyle, że wyłącznym nosicielem tego przeżytku okazała się była opozycja antykomunistyczna, zwłaszcza inteligentka.

Inteligentka nie przyjęłaby, wzorem komunizmu, wrogiej postawy wobec krajowych kapitalistów, gdyby nie jej gorliwa akceptacja idei internacjonalizmu. Nawet za trudnych czasów komunistycznych, internacjonalizm, z negacją narodu, nie był jednak traktowany tak poważnie jak obecnie. Miał on co najwyżej charakter sloganowy, gdyż nikomu z komunistycznych władz nie przyszłoby do głowy, żeby dzielić się narodowym kapitałem z innymi krajami, nawet spośród tzw. obozu.

Wdrażanie takiej doktryny jak internacjonalizm, czy to w imię wspólnoty robotników, jak w podręcznikowym komunizmie, czy wspólnoty kapitalistów z „niekompletnego kapitalizmu”, wymaga zakwestionowania tradycji moralnej. Gdy w komunizmie odbierano własność prywatną, moralność była naginana przez partię. Przy budowie „niekompletnego kapitalizmu” przez wywłaszczenie narodu doszło jednak - przy udziale inteligencji - do odrzucenia moralności.

Choć nikt nie potrzebował inteligencji, żeby zachęcała go do przyjęcia kapitalizmu, zabrała się ona jednak do propagandy „wyższości” kapitalizmu, tego „niekompletnego”, nad komunizmem. Zrobiła to

w rewolucyjnym stylu, który monopartia porzuciła na długo przed upadkiem komunizmu. Zamiast zająć się polepszeniem bytu przeciętnego człowieka, była opozycja, jako „przeżytek komunizmu”, wybrała jego rewolucyjne uświadamianie - w nieświadomości klęski.

CZĘŚĆ TRZECIA

PRZEKLEŃSTWO HISTORII

Likwidacja narodowego kapitału przez półdarmową wyprzedaż zagranicy stawia Polskę w sytuacji gorszej niż kiedykolwiek w nowoczesnej historii jej gospodarki. Od dwóch już stuleci Polska zмага się o zachowanie narodowej kontroli nad swym majątkiem, głównie w obliczu gospodarczej ekspansji jej sąsiadów. Tak było oczywiście w okresie zaborów, czy to w drodze niemieckiego rugowania z ziemi czy rosyjskich konfiskat majątków. Polska ziemia, jako główny składnik narodowego kapitału, przechodziła wtedy w obce ręce z reguły za ułamek wartości. W niemieckim zaborze działo się tak pod presją długów, a w zaborze rosyjskim ze względu na krótki czas wyznaczony na sprzedaż posiadłości. Na to, żeby pozbawić Polaków wszystkich zasobów, zaborcy potrzebowaliby jednak następnych stu lat, pod koniec, których wyrwaliby z polską ziemią również korzenie polskości. Do tego nigdy nie doszło, gdyż w międzyczasie Polska odzyskała niepodległość. Nadal jednak pokaźna część zasobów kapitałowych była w rękach zagranicznych, zwłaszcza w niemieckich, ale już nie w rosyjskich. Dopiero, gdy nastął komunizm po raz pierwszy we współczesnej historii Polski kapitał stał się wyłącznie narodowy. Jakkolwiek silna była wtedy rosyjska kontrola polskiej gospodarki nie zmienia to oczywistego faktu, że rosyjscy mocodawcy nie mieli tytułów własności. Natomiast po upadku tego jak by nie było narodowego komunizmu, zaledwie w ciągu dziesięciolecia, wyłonił się nienarodowy kapitalizm. Ponieważ większość kapitału, banków i fabryk, znalazła się w rękach zagranicznych, w tych też rękach znalazła się prawie pełna kontrola gospodarki. W tym sensie, czyli pod względem suwerenności gospodarczej, w wyniku wywłaszczeniowej prywatyzacji, sytuacja uległa nagłemu pogorszeniu. Sprzedany majątek trafił raczej do rąk niemieckich, a w każdym razie nie do rosyjskich, także obecnego ograniczenia suwerenności nie można dalej przypisywać Rosji. Mimo tych niezbitych faktów, jedyne zewnętrzne zagrożenie, które przykuwa dzisiaj uwagę większości Polaków jest nie to realne, ale to nieistniejące - rosyjskie. Nic chyba bardziej nie świadczy o niskim stanie świadomości przeciętnego obywatela oraz o tym, jak bezmierny musi być cynizm tych, którzy z racji dostępu do władzy manipulują zbiorową świadomością. Po to, żeby żalosne dzieło rozdrapywania polskiego kapitału doszło do swego naturalnego końca, czyli do pełnej likwidacji polskości.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ZAKŁAMANA PRZESZŁOŚĆ

Nie mogło się udać przejście z komunizmu do kapitalizmu, gdyż mało kto rozumie czym był komunizm, nawet ta część społeczeństwa, czyli większość, która uważa szczytową dekadę późnego komunizmu za gospodarczo najlepsze lata po wojnie

Istotą „polskiej drogi” do kapitalizmu jest manipulacja historią dla doraźnych korzyści tych, którzy marnują historię. Najlepiej o tym świadczą ciągle odwołania tzw. liberałów do dekady Gierka. Jest to ponoć okres bezsensownego uzależnienia gospodarki oraz wynikającego stąd krachu. Dopiero na tym tle można ponoć ogarnąć gospodarcze uniezależnienie oraz zbudowany na nim cud obecnej dekady Balcerowicza. Niestety, porównanie wypada mocno na korzyść Gierka.

Zapomniane reformy

U podstaw tezy tzw. liberałów, że polityka Gierka, będącego u steru partii w latach 1970-1980, dopuściła do nadmiernego uzależnienia gospodarki od zagranicy leży opinia, że tak jak wszyscy partyjni liderzy bał się reform gospodarki. Były one potrzebne dla rozruszania gospodarki, ale wymagały delegowania władzy w dół, z czym wiązało się ryzyko utraty kontroli. A to dlatego, że jak ktoś poza ścisłym centrum zasmakuje uroków władzy to zaraz będzie chciał jej więcej, kosztem tegoż centrum.

Według tej szeroko przyjętej interpretacji, w obliczu kulejącej gospodarki zostawionej przez Gomułkę, Gierek miał ograniczony wybór. Doszło do zastoju gospodarczego, gdyż ze względu na niską wydajność, brakowało środków na inwestycje. Zwiększenie wydajności wymagałoby głębszych zmian systemowych, których nikt nie brał poważnie pod uwagę. Jedynym wyjściem okazały się zagraniczne kredyty na zakup dóbr inwestycyjnych, tak więc zaczęło się pożyczanie.

Nic nie jest jednak dalsze od prawdy, gdyż reformowanie było ostatnią rzeczą, od której musieli stronić partyjni przywódcy. Przeciwnie komuniści *zaczęli* od gigantycznej reformy, jaką było zburzenie podstaw kapitalizmu. Wynikało to z ich wiary, że można organizować gospodarkę w dowolny sposób, tak by polepszyć wykorzystanie zasobów, kapitału czy pracy. To nastawienie nigdy się nie zmieniło; reformy szły nieustannie, tyle, że już na wyraźnie skromniejszą skalę.

Ci nieliczni spośród tzw. liberałów, którzy dostrzegają fakt, że mono-partia ciągle grzebała w systemie gospodarki, uważają z kolei, że nie miało to większego znaczenia. Nie były to bowiem prawdziwe reformy, ale zabiegi kosmetyczne, głównie obliczone na dobre wrażenie, zwłaszcza w wydaniu nowych liderów. Nie inaczej miał, ich zdaniem, postąpić Gierek, kiedy doszedł, więc do władzy, żeby pokazać swój dynamizm, zarządził huczne reformy, aby je następnie szybko porzucić. Znowu nie ma w tym łutu prawdy, gdyż za Gierka doszło do bardzo ważnych zmian ustrojowych, zresztą utrzymanych w tym samym duchu co reformy jego poprzednika, Gomułki. Tak jak w przypadku Gomułki, reformy Gierka dokonały dalszej erozji systemu komunistycznego. Nawet jeśli oficjalnie głoszono, że wprowadzane przez partię reformy mają służyć utrwaleniu scentralizowanego porządku, prowadziły one do systematycznego odchodzenia od komunizmu.

Niczego innego nie mogła przynieść decyzja Gierka, żeby rozczłonkować centrum gospodarcze, przekazując kompetencje z organów planowania do tzw. ministerstw branżowych. Proces planowania, z milionami formularzy idących do góry oraz tysiącami decyzji idących w dół, stał się nagle mało ważną formalnością. Dla przeciwwagi skoncentrowano produkcję w tzw. zjednoczeniach branżowych, co tylko pociągnęło za sobą dalszą decentralizację decyzji.

Nie może być więc mowy o strachu przed decentralizacją władzy, gdyż nie tylko, że do niej doszło, ale stało się tak nie przez przypadek. Zmiany były potraktowane przez Gierka jako niezbędny warunek skutecznego otwarcia gospodarki na świat, na import i kredyty. To otwarcie było zresztą samo w sobie aktem odwagi, gdyż zdawano sobie sprawę z tego, że wraz z uzależnieniem od zagranicznego importu i kredytu, pole manewru dla władz partii musi się dodatkowo zawęzić.

Krył się za tym, jak i za całym programem reform, swoisty przełom ideologiczny, gdyż marksizm ma wyjątkowo wyraźną awersję do kapitałowego wiązania gospodarki narodowej z zagranicą, nawet ograniczonego. Albowiem każdy kapitał, tak własny jak i obcy, jest traktowany jako nieuchronne źródło eksploatacji pracy, siły roboczej. Praca jest jedynym źródłem dobrobytu, bądź, używając marksowskiej frazeologii, tzw. wartości, kapitał może, więc tylko żyć kosztem pracy.

Ze zmianami w systemie gospodarki przyszły też, kto wie czy nawet nie bardziej brzemiennie w skutkach, zmiany polityczne, zwłaszcza w naborze kadry. Rozluźniono kryteria ideologiczne, w tym sprawy pochodzenia społecznego czy partyjnej gorliwości, stanowiące źródło tzw. negatywnej selekcji. Nastąpił jednocześnie przełom w stylu sprawowania władzy, gdyż Gierek, jako pierwszy, uznał, że - typowe dla komunizmu - użycie przemocy nie może być instrumentem władzy.

Należy dodać do tego wymiar zewnętrzny, mianowicie to, że za posunięciami Gierka kryła się chęć powiększenia niezależności od Związku Radzieckiego. Tak jak nikt w kierownictwie partii nie starał się obalić komunizmu, nikt na serio nie rozważał oderwania od Związku Radzieckiego. Zainteresowana władza, ekipa ta postanowiła tylko poszerzyć pole swego działania przez zachodnie kontakty, zwłaszcza z Europą, gdzie ranga komunistycznej Polski podniosła się niezwykle.

Na tym etapie zależność od Związku Radzieckiego nie była odbierana przez przywództwo jako pozbawiona pewnych zalet. Podczas gdy wschodnie granice wydawały się trwałe, zachodnie stały pod pewnym znakiem zapytania. Polska potrzebowała dobrych stosunków z Sowietami, wtedy gdy Gomułka uzyskał od Niemiec Zachodnich potwierdzenie ustalonych po wojnie granic. Jak również wtedy, gdy Gierek przystąpił z kolei do przesiedlenia półtora miliona autochtonów.

Ukrywane realia

Ktoś mógłby ciągle twierdzić, że na polu reform Gierek działał zbyt mało, zwłaszcza w porównaniu z reformami w dekadzie Balcerowicza, pod którym jakby zerwała się tama. Tyle, że przecież reformy ustrojowe to nie jest wyścig na czas, chodzi w nich o to, żeby usprawnić gospodarkę. Gdyby przyjąć tę miarę, to reformy Gierka, choć skromniejsze, dały lepsze wyniki niż reformy Balcerowicza, włącznie z tą sferą, którą najostrej atakują przeciwnicy Gierka - uzależnieniem. Żeby nie być gołosłownym, weźmy dla porównania siedem lat ujemnych bilansów handlowych dla okresu Gierka z lat 1971-1978 oraz Balcerowicza z lat 1991-1998. Przyjmijmy jako miarę procentowe relacje skumulowanego deficytu handlowego do skumulowanego eksportu za te różne lata. W epoce Gierka deficyty importowe wyniosły 47 procent eksportu a w epoce Balcerowicza - 36 procent, czyli niewiele mniej, w każdym razie na poziomie, który też należałoby uznać za ryzykowny.

Gdyby iść dalej z tym porównaniem dwóch dekad okazałoby się, że po 1978 r. deficyt handlowy został bardzo szybko wyeliminowany, podczas gdy obecny deficyt handlowy najpierw uległ zwiększeniu, by pokazać mały spadek dopiero w 2001 r. Stąd, gdyby przedłużyć okres analizy o następne trzy lata, wtedy w latach 1979-1981 skumulowany import okazałby się mniejszy niż cały eksport, natomiast dla lat 1999-2001 deficyt w imporcie byłby o 66 procent wyższy od całej wartości eksportu.

W obydwu dekadach nierównowaga w handlu zagranicznym znalazła odbicie w rosnącym długu zewnętrznym, gdyż dziurę w obrotach towarowych trzeba było pokryć kredytami. W dekadzie Gierka dług podniósł się od zera do 23 miliardów dolarów, co stanowiło 160 procent przeliczonego na dolary eksportu w 1979 r. W dekadzie Balcerowicza, dług zwiększył się z 48 do 61 miliardów dolarów, co stanowiło ekwiwalent aż 230 procent dolarowego eksportu w 1999 r..

Tzw. liberałowie nie zostawiają suchej nitki na Gierku twierdząc, że nie tylko pożyczył za dużo, ale że użył importu nie na tworzenie mocy eksportowych, ale wsparcie konsumpcji. To nieprawda, gdyż blisko 40 procent importu składało się z dóbr inwestycyjnych, często całych obiektów przemysłowych. Ale krytyka ta jest zasadna jeśli chodzi o okres Balcerowicza, kiedy ten udział wyniósł tylko 15 procent; także efekt proeksportowy okazał się jak dotąd znikomy (Podkaminer 2000). Bliższe porównanie wyników w eksporcie za Gierka i Balcerowicza potwierdza powyższy kontrast w ich sposobie wykorzystania importu. Okres Gierka to były lata głębokich zmian w strukturze eksportu na rzecz dóbr przetworzonych oraz budowania nowych specjalności (np. obiekty przemysłowe, Poznański 1997). Okres Balcerowicza to lata, w których właśnie doszło do wyhamowania tempa eksportu oraz zamiany Polski w kraj bez żadnej chyba specjalizacji.

Ktoś mógłby starać się zignorować te fakty twierdząc, że bez względu na to jakie były efekty

w eksporcie jedynie strategia Gierka tak czy inaczej zawiodła, gdyż w przeciwnym razie Polska nie stanęłaby w 1980 r. na granicy finansowej niewypłacalności wobec swych zagranicznych kredytodawców. W ostatecznym rachunku, właśnie ze względu na niedostateczny potencjał eksportowy, gospodarka stoczyła się w kryzys 1979-1982; należy dodać, jedyny jaki zna dotąd komunizm.

Fakt, że doszło do kryzysu, który kosztował Polskę jedną czwartą jej dochodu narodowego oraz ogromne straty w konsumpcji prywatnej, nie ma jednak wiele wspólnego z sytuacją w eksporcie.

Z pewnością dług był dostatecznie wysoki, żeby spowodować pewne perturbacje, ale nie tego typu rujnujący kryzys. Prawdziwym powodem kryzysu nie był wcale brak mocy eksportowych ale niemożność ich mobilizacji przez władze w obliczu niepokojów robotniczych, które wybuchły w 1980 r.

To, że u źródeł recesji tkwił wybuch polityczny, powinno stać się całkiem oczywiste jeśli porówna się Polskę np. z Węgrami, które mimo większego obciążenia długami na jednego mieszkańca uniknęły recesji. Podobnie z bardzo zadłużoną Rumunią, której potencjał eksportowy był znacznie słabszy niż Polski czy Węgier. Stało się tak, gdyż tak Węgry jak Rumunię ominął polityczny kryzys, więc ich władze mogły uruchomić niepopularne instrumenty potrzebne dla opanowania długu.

Jak już chce się oceniać Gierka na podstawie tego, że nie udało mu się uniknąć recesji, to trzeba wtedy przyznać, że Balcerowicz nie okazał się lepszy. Doprowadził do początków recesji w 2000 r., której zarysy przypominają los innych nadmiernie zadłużonych rozwijających się krajów, które wpadły w finansowe tarapaty, jak np. Meksyk w 1994 r. czy Tajlandia w 1997 r. Jeśli Polska pójdzie ich drogą, jej recesja może spowodować straty w produkcji gorsze niż w latach 1979-1982.

Za tym, że obecna recesja może okazać się gorsza przemawia fakt, że obecnie, tak jak za Gierka, ważnym motorem recesji są trudności polityczne, tyle, że nieporównywalnie większe. Za Gierka, recesja stała się nieodwracalna ze względu na zbuntowane społeczeństwo w obliczu spójnego państwa, które miało jak ratować sytuację. Choć za Balcerowicza, w obliczu recesji, społeczeństwo jest spokojne, polityczne warunki są gorsze, gdyż w wyniku korupcji państwo stało się bezradne.

Utajnione porównanie

Obraz dwóch dekad jest ciągle niepełny, gdyż nie wiadomo na ile, mimo recesji, udało się Gierkowi i Balcerowiczowi wykorzystać deficyty handlowe oraz długi zagraniczne dla rozbudowy gospodarki. Nawet gdyby żadnemu z nich nie wyszło pomnożenie potencjału eksportowego, pozostaje ważne pytanie na ile import przysłużył się do powiększenia zasobów kapitału. W końcu, właśnie radykalne powiększenie tych zasobów było ważnym celem obydwu tych liderów.

Z pewnością Gierek osiągnął pod tym względem więcej w swej dekadzie niż Balcerowicz, gdyż zasoby kapitału, mierzone wartością środków trwałych brutto, wzrosły za Gierka po 1970 r. przyjętym jako 100 do 181 w 1980 r., podczas gdy przyjmując 1989 r. za 100 indeks przyrostu za Balcerowicza w 1999 r. wyniósł tylko 123, czyli jedną czwartą tego co dokonał Gierek (i tyle, ile udało się osiągnąć w bardzo trudnych dla polskiej gospodarki latach 1982-1989, za Jaruzelskiego).

Warto przypomnieć, że Gierek zdecydował się na napędzanie gospodarki na kredyt, oraz długami, nie tyle dla samego pomnażania zasobów kapitału, gdyż nie kierował się jakąś obsesją budowania fabryk czy kopalń ale raczej chęcią zapewnienia pracy zbliżającemu się tzw. wyżowi demograficznemu. W tym względzie też osiągnął sukces, który przyćmiewa Balcerowicza, gdyż za Gierka powstało

2.1 miliona, a za Balcerowicza zlikwidowano 2.1 miliona miejsc pracy, czyli jedną piątą.

Upór, z jakim Balcerowicz wpędzał Polskę w wysokie bezrobocie jest niespotykany, gdyż większość tych 2.1 miliona ludzi wywalono na bruk w pierwszych latach jego reform. Gdy w 1994 r. zaczęły się rządy lewicowej koalicji, SLD z PSL, liczba bezrobotnych zaczęła szybko spadać, tak, że pod koniec jej rządów, w 1997 r. wyniosła 1 milion mniej. Gdy w 1997 r. Balcerowicz wziął gospodarkę w swoje ręce za koalicji AWS z UW, szybko dodano 1 milion ludzi do statystyk bezrobotnych.

W strategii Gierka mieściło się też zapewnienie realnych przyrostów dochodu, oraz konsumpcji, dla gospodarstw domowych, bo to nie była jakaś kolejna stalinowska industrializacja, kiedy gotuje się stal, ale garnki są puste. Balcerowicz to też nie inne wcielenie Stalina, ale jednak konsumpcja, policzona w cenach stałych, wzrosła za Gierka o blisko 65 punktów procentowych w latach 1970-1979, podczas gdy za Balcerowicza odpowiedni wskaźnik wzrostu wyniósł tylko 35 punktów.

Powyższe porównanie nie oddaje prawdziwego kontrastu, gdyż w wielu ważnych dziedzinach konsumpcji korzystne zmiany za Gierka zostały zniwelowane za Balcerowicza, jak np. w spożyciu mięsa. Polak spożywał

49 kilogramów rocznie w 1970 r. ale już 69 kilogramów w 1980 r., 20 kilo, czyli 40 procent więcej. Jeszcze w 1989 r. za Rakowskiego spożycie było takie jak w 1980 r., by spaść do 57 kilogramów w 1997 r., o 12 kilogramów lub 20 procent (Załącznik 3).

Gorzej wypada też epoka Balcerowicza w sferze kultury; z pewnością jeśli mierzyć ją ilością sprzedanych książek, trzeba przyznać, że zawsze jedną z najniższych w powojennej Europie. W 1970 r., gdy zaczęła się epoka Gierka, na tysiąc mieszkańców przypadało 3451 książek, ale w 1980 już 4136, a - po jego odejściu - za Jaruzelskiego, w 1989 r., aż 4165. W 1997 r., już w tzw. „wolnej Polsce”, pod *rządami* Balcerowicza, sprzedano 2425 książek, czyli 1800 woluminów mniej.

Gdyby przyjąć jako wskaźnik dostępność mieszkań, zwykle umieszczoną wysoko na skali preferencji konsumentów, za Gierka liczba izb na tysiąc mieszkańców wzrosła z 19,4 w 1970 r. do 23,3 w 1980 r., czyli o jedną piątą, podczas gdy za Balcerowicza liczba ta spadła do 8,5 izb, czyli aż o dwie trzecie. Jednocześnie, ogólna powierzchnia użytkowa mieszkań uległa redukcji między 1980 r. i 1999 r. z 13,9 do 7,2 kilometrów kwadratowych, czyli o prawie połowę.

Co więcej, zmiany w konsumpcji w tych dwóch dekadach dokonały się przy innych założeniach jeśli chodzi o podział korzyści ze wzrostu narodowej produkcji. Za Gierka, podział był z pewnością zbyt spłaszczony, co stanowi grzech komunizmu, ale ciągle w zgodzie z koncepcją nowoczesnego państwa, które nie toleruje biedy. Za Balcerowicza, w biedę zostały wpędzone całe grupy zawodowe, zwłaszcza rolnicy, a biedni ogółem stanowią już jedną czwartą ogółu.

Powyższe porównania oczywiście nie mają służyć wykazaniu wyższości komunizmu nad kapitalizmem, jak chcieliby tego tzw. liberalni krytycy. Tutaj chodzi tylko o wydobycie na jaw wstydliwie ukrywanych statystyk dotyczących porównania konkretnego przypadku komunizmu oraz kapitalizmu.

Z takiego zestawienia niestety wynika, że skazany na zagładę komunizm radził sobie lepiej za Gierka niż kapitalizm w wydaniu Balcerowicza, też chyba skazany na zagładę.

Wyrażając się bardziej dobitnie, nie chodzi o wybielanie komunizmu nawet z tych najlepszych jego lat za Gierka, ale raczej o obnażenie zwyrodniałego kapitalizmu ostatnich lat, gdy doszło do klęski.

W tym sensie, jest to też próba ukazania wyższości normalnego kapitalizmu, takiego jak w Unii Europejskiej, który „pracuje” na wszystkich ludzi, z nienormalnym, jak w Polsce, który „pracuje” na uprzywilejowane warstwy, zresztą głównie nie z kraju ale z zagranicy.

Podsumowanie

Konieczne jest - jak widać - rozstanie się z marnym mitem dotyczącym oceny niedawnej przeszłości, mianowicie, że reformy tzw. liberalne przeniosły gospodarkę z piekła do raju, z łap Gierka w dłoń Balcerowicza. Balcerowicz nie zabrał Polski ze sobą do raju, nie dał Polsce nawet cudu, o którym rozpisują się tzw. liberałowie, tak, że jeśli można w ogóle mówić o cudzie gospodarczym w powojennej Polsce, to wypada, że w grę wchodzi tylko dekada z czasów Gierka, za komunizmu.

To, że większość ludzi uważa dzisiaj, że okres Gierka był najlepszym jakiego doświadczyli po wojnie, to nie dlatego, że - jak twierdzą tzw. liberałowie - mają zamęt w głowie z powodu nostalgii za latami, gdy byli biedni, ale młodzi. Prawda jest taka, że to tzw. liberałowie, wykorzystując monopol medialny, starają się zamącić w głowach innym propagując swoją wersję komunistycznego kultu jednostki, czyli „architekta cudu gospodarczego” - Balcerowicza.

Nie mogło dojść do cudu za Balcerowicza, gdyż wsparł on wzrost produkcji na jeszcze większych deficytach handlowych niż Gierek, stworzył jedynie „domek z kart”, który nie jest w stanie stać o własnych siłach. Ten „domek z kart” został postawiony w trakcie zupełnie zbędnej „pierwszej recesji Balcerowicza” z lat 1990-1992, a poczynając od 2000 r., zaczął się on rozpadać już w „drugiej recesji Balcerowicza”, wynikłej nie tyle z błędów państwa co z jego niemocy.

Nie może też być mowy o cudzie, gdyż Balcerowicz nie zadowolił się deficytami handlowymi, ale sięgnął po inny środek, iście piekielną sztuczkę, żeby ożywić gospodarkę przez wyprzedz w obce ręce stworzonego głównie za Gierka kapitału. Podczas gdy Gierek obiecał Polakom podwojenie kapitału, czyli zbudowanie „drugiej Polski”, Balcerowicz cały ten podwojony kapitał, główne źródło narodowego bogactwa, roztrwonił za bezcen, zostawiając niestety „Polskę zerową”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

NIEMIECKIE NIEPORZĄDKI

„Polska droga” do „niekompletnego kapitalizmu” nie zaczęła się w Polsce, ale w Niemczech Wschodnich, albo dokładniej w Niemczech Zachodnich, które na swój własny sposób szybko zreformowały bezwolne Niemcy Wschodnie

Dopiero jak się przyjmie, że prototypem „polskiej drogi” są reformy przeprowadzone w Niemczech Wschodnich, możliwe staje się uzyskanie klarownego obrazu obecnej Polski. Mianowicie, w obydwu przypadkach w wyniku zmian lokalnej gospodarki, zwłaszcza przemysł oraz rolnictwo, uległy na wstępie reform dewastacji. Zaś, podobnie jak w przypadku Niemiec Wschodnich, główne korzyści z póżdarmowego rozdysponowania publicznego majątku odniosły Niemcy Zachodnie.

Spreparowane umysły

Szukanie użytecznych analogii, należy zacząć od przebadania, w jaki sposób Niemcy Zachodnie zdobyły wpływ na opinię publiczną w Niemczech Wschodnich, jak również w Polsce. Wpływ ten był potrzebny, żeby zyskać aprobatę dla scenariusza na przechodzenie do kapitalizmu przez jednoczesny kryzys produkcji i oddanie kapitału. Odpowiedź brzmi, że w obydwu krajach u podłoża leży mobilizacja środków masowego przekazu, jako propagatora tegoż scenariusza

W Niemczech Wschodnich uzyskanie kontroli nad środkami przekazu było wyjątkowo proste, gdyż kraj ten został wcielony do Niemiec Zachodnich w drodze eliminacji jego wszystkich odrębnych instytucji politycznych, włącznie z mediami. W miejsce wyłącznej partyjnej prasy i telewizji weszły koncerty oraz ośrodki polityczne, czyli główne partie, z Niemiec Zachodnich, gdyż zwyczajem Europy Zachodniej główne tytuły prasowe przeważnie należą do samych partii.

Wariant ten nie mógł być oczywiście powtórzony w Polsce, nie było zwłaszcza mowy o natychmiastowej wymianie lokalnych partii czy nawet ich podporządkowaniu. Ale, od pierwszej chwili zaczęło się wykupywanie prasy przez zagraniczne koncerty, w tym w szczególności te z Niemiec Zachodnich. Ci ostatni, bardzo szybko zdobyli mocną pozycję w paru sektorach ogólnokrajowej prasy, np. w pismach gospodarczych. A teraz wchodzą już potężnie w tygodniki polityczne.

Po kilku latach prawie 50 procent prasy znalazło się w rękach zagranicznych, a dzisiaj ten udział jest najprawdopodobniej bliższy 75 procent. To jest absolutnie niezwykła sytuacja, z pewnością w świetle doświadczeń Europy Zachodniej, gdzie obce udziały są minimalne, szczególnie jeśli chodzi o pisma polityczne. Dostęp do obcej prasy jest w tych krajach szeroki, ale - dla ochrony interesów swych obywateli - ich konstytucje zabraniają obcej dominacji w publikacjach lokalnych.

Choć uzależnienie prasy przez Niemcy Zachodnie okazało się totalne w Niemczech Wschodnich, a w Polsce tylko częściowe, nie miało to większego znaczenia, gdyż inne zagraniczne koncerty przyjęły podobną wykładnię. Bez potrzeby uzgodnienia, kierując się interesami zagranicznych nabywców, przystąpiły do przekonania miejscowej ludności, że będzie najlepiej gdy będzie się ona biernie przyglądać jak dla jej wspólnego dobra zagraniczni nabywcy tworzą system kapitalizmu.

W ramach lekcji bierności, zaczęto powtarzać opinię, że tylko oparcie na siłach zewnętrznych daje szansę dojścia do kapitalizmu, gdyż chory komunizm zostawił głównie „skażonych” ludzi, niezdolnych do zdrowego działania. Komunizm to ekwiwalent hitlerizmu, albo nawet coś gorszego, więc jego elity, włączając kadrę kierowniczą przemysłu czy finansów, nawet jeśli w ogóle mają jakieś przydatne kwalifikacje, nie mają żadnego moralnego tytułu do tego, żeby budować kapitalizm.

Innym, ważnym elementem kampanii bierności stała się teza, że jeśli wkroczą np. Niemcy Zachodni, jako autorzy powojennego cudu gospodarczego, wtedy Niemcy Wschodnie czy Polska będą, tak jak Niemcy Zachodnie, bogate i spokojne. Miał się więc wreszcie powtórzyć cud gospodarczy na wschodnich rubieżach Europy. Skoro zaś czeka cud, a cudu nie da się przecież w żaden sposób przyspieszyć, wschodnie rubieże mogą tylko posłusznie czekać aż cud ten się faktycznie objawi.

To właśnie w ramach tego widzenia zmian ustrojowych, akcenty w myśleniu przesunęły się

z początkowo centralnego dla reform pojęcia „przejścia do kapitalizmu”, jako zbiorowego wysiłku, na rzecz terminów, które sugerują łatwe „włączenie do kapitalizmu”. W kontekście Niemiec Wschodnich pojawił się zwrot „zjednoczenie” z Niemcami Zachodnimi, w przypadku zaś Polski wprowadzono nasycony magiczną mocą zwrot „integracja” - naturalnie ta z Unią.

Choć przejście prasy było istotne dla ukształtowania takiego widzenia zmian ustrojowych, nie należy przeceniać tego faktu, gdyż zagraniczne koncerty trafiły na podatny grunt. Inteligencja, zwłaszcza ta opozycyjna, w dużym stopniu sama uznała, że najlepszą postawą dla Polski jest bierność. W tym mieściło się również przekonanie o własnej niższości; stąd zadowolenie, że jej poglądy są zbieżne z opiniami z zagranicy oraz gorąca aprobaata przejścia prasy przez obce koncerty.

W świetle tych uwag, wspomniany wcześniej monopol byłej opozycyjnej inteligencji na środki przekazu nie może być traktowany dosłownie, gdyż faktycznie znalazł się on w obcych rękach.

Ze względu na powinowactwo poglądów w sprawie transformacji, inteligentkie kręgi uzyskiwały od obcych właścicieli „licencję” na prezentowanie wspólnego spojrzenia na reformy, w którym nie ma miejsca na lokalną inicjatywę w budowie kapitalizmu a tym samym na własną klasę kapitalistyczną.

Fakt, że przy tym bardzo nieeuropejskim modelu mediów, nigdy nie doszło do rzetelnej debaty na temat zasadności masowego przejmowania miejscowego kapitału przez obcych inwestorów, stanowi dostateczne potwierdzenie, że zagraniczne media nie przyjęły roli bezstronnego nośnika informacji. Rzadkie próby poruszenia tego tematu stały się wyłącznie przedmiotem ataku ze strony gorliwie występujących w obronie zgubnej propagandy lokalnych informatorów.

Wyłudzenie gospodarki

Ponieważ w wyniku faktycznego zawieszenia życia politycznego Niemcy Wschodnie najlepiej nadawały się do skoku na majątek, tutaj doszło też do skrajnej wersji wyprzedazy w obce ręce. Prawie bez wyjątku fabryki oraz banki były sprzedane w ręce nabywcy zachodnioniemieckiego.

Tylko 5-6 procent majątku wykupili inni obcy inwestorzy, a następne 4-5 procent kapitału, głównie w formie małych zakładów w przemyśle, zostało wykupione, na ratalnych zasadach, przez Niemców Wschodnich.

Równie skrajną formę przybrała wycena majątku, gdyż w żadnym przypadku, włącznie z Polską, wycena nie została dokonana wyłącznie przez nabywców. W Niemczech Wschodnich na czele prywatyzacji stanęła powołana przez Niemcy Zachodnie agencja, która ani razu nie sięgnęła po niezależne wyceny przez międzynarodowe firmy audytorskie. W Polsce, przynajmniej, posłużono się takimi firmami, co samo w sobie, sądząc po wynikach, nie gwarantuje realnych wycen.

Ale w przeciwieństwie do Polski, przed przystąpieniem do prywatyzacji rząd Kohla przygotował stosunkowo solidny inwentarz majątku Niemiec Wschodnich. Cały majątek trwały - maszyny i budynki - został w 1989 r., jak już wspomniałem, wyceniony na 320 miliardów dolarów, plus pominięte wcześniej 270-320 miliardów dolarów w formie nieruchomości (wg. Sinn i Sinn 1992). Wskazywało to na raczej zasobną gospodarkę, nieco większą od gospodarki Polski.

Mimo że gospodarka Niemiec Wschodnich była nieco większa od gospodarki Polski, sprzedano ją nie za większe pieniądze ale wręcz z dopłatą dla nabywców. Zamiast otrzymać oczekiwane 320 miliardów dolarów za sprzedaż środków trwałych Niemiec Wschodnich, agencja prywatyzacyjna skończyła z deficytem 180 miliardów dolarów, który musieli pokryć obywatele Niemiec Zachodnich, w ramach specjalnie utworzonego na cele zjednoczenia podatku, tzw. „solidarnościowego”. Pod względem niedoszacowania kapitału, polski „wielki przekręt” błędnie więc przy wschodnioniemieckim, w grę weszły też większe sumy. Gdyby dodać nieopłacone 320 miliardów dolarów środków trwałych włożonych przez obywateli Niemiec Wschodnich do 180 miliardów dolarów deficytu pokrytego przez obywateli Niemiec Zachodnich, łączna suma wyniosłaby 500 miliardów dolarów. Tyle mniej więcej zyskali na „największym przekręcić” inwestorzy z Niemiec Zachodnich.

Wykup kapitału przez Niemcy Zachodnie nie zakończył się jednak na Niemczech Wschodnich, to było raczej tylko pole doświadczalne. Po Niemczech Wschodnich przyszła kolej na inne kraje Europy Wschodniej, tyle, że nie na podobną skalę, gdyż do walki o ich kapitał narodowy stanęły też inne kraje Europy Zachodniej. Rola Niemiec Zachodnich od początku była jednak najsilniejsza, między innymi dzięki doświadczeniu zdobytemu w Niemczech Wschodnich.

Stąd wzięły się główne argumenty na rzecz bardzo szybkiej sprzedaży lepiej przygotowanym finansowo, czy

fachowo, zagranicznym inwestorom, wsparte jak by nie było istic rekordowym tempem operacji na froncie wschodniemieckim. Tu ma też swoje źródło pokrętna teza, że komunizm zostawił tylko bezwartościowy złom, czyli jak barwnie sformułowały to media w Niemczech Zachodnich, że jest tak fatalnie, że konieczne będzie pełne zaoranie conajmniej połowy fabryk i banków.

Decydująca rola Niemiec Zachodnich w prywatyzacji na terenach Europy Wschodniej, wzięła się również czy szczególnie stąd, że to jej inwestorzy wkroczyli na te tereny najlepiej uzbrojeni w techniki wykupywania za bezcen. Nie powinno się mieć bowiem żadnych złudzeń, że w Niemczech Wschodnich rozegrała się walka, w której wygrywali ci, którzy najlepiej byli przygotowani do skorumpowania pozbawionych jakiegokolwiek nadzoru urzędników prywatyzacyjnych.

Przykładem tego, jak skuteczne okazały się starania Niemiec Zachodnich są Węgry, ale Polska też może służyć jako przykład, gdyż ich inwestorzy zdobyli największą ilość skazanego na wyprzedaż kapitału. Przynajmniej jedna trzecia tego co dostało się w zagraniczne posiadanie, w tym w bankowości, trafiła do nabywców z Niemiec Zachodnich. Poprzez obecne konsolidacje udział ten systematycznie się podnosi, nie da się więc wykluczyć, że może on łatwo dojść do połowy.

Polska dowodzi jednocześnie, że inwestorzy z Niemiec Zachodnich trzymają się utartych szlaków, które pokrywają się z ich historycznymi sferami wpływów. Nie jest to bowiem tylko rezultat geograficznej bliskości, że na terenach tzw. Ziemi Odzyskanych poza inwestorami z Niemiec Zachodnich nie liczy się prawie nikt inny. Do nich należy nie tylko prawie cała prasa regionalna, ale wszystkie lokalne banki i większość fabryk, nie tylko tych największych ale nawet tych średnich.

Jedynym elementem kapitału, który czeka na przejęcie są tereny rolne i nieruchomości, głównie ze względu na ciągle obowiązujące polskie klauzule ochronne. Tyle są one jednak warte co aparat państwa stojący na ich straży, ten sam aparat, który wyprzedał za półdarmo fabryki i banki. Dane statystyczne w tym zakresie są wyjątkowo mało dostępne, ale na Ziemiach Odzyskanych powoli dokonują się wykup ziemi i nieruchomości, znowu głównie przez niemieckich nabywców.

Podlejszy koniec

Gdyby ktoś miał jakieś złudzenia, co przynosi ze sobą oddanie narodowego kapitału w obce ręce, powinien się tylko przyrzeć temu, co się stało z gospodarką Niemiec Wschodnich pod wpływem Niemiec Zachodnich. Mogłoby się wydawać, że kapitalistyczni nabywcy, kierowani zyskiem, zabiorą się do pomnażania kapitału i tworzenia atrakcyjnych miejsc do pracy. Innymi słowy, że rzeczywiście zapewnią oni, że Niemcy Wschodnie bardzo szybko przerodzą się w Zachodnie.

Nic podobnego się nie stało, gdyż Niemcy Zachodnie bardzo szybko zdewastowały gospodarkę Niemiec Wschodnich, mimo że stały się one częścią wspólnych już Niemiec. Powinno to stanowić ważne ostrzeżenie dla innych krajów, w których doszło do przejęcia kapitałowego przez zagranicę. Albowiem, jeśli Niemcy Zachodnie nie cofnęły się przez zrujnowaniem swoich Niemiec Wschodnich, można by oczekiwać tylko czegoś gorszego gdzie indziej, w tym w obecnej Polsce.

Wraz z przejęciem majątku, Niemcy Zachodnie zastosowały w Niemczech Wschodnich najbardziej skrajną odmianę „terapii szokowej”, taką jaka polskim tzw. liberałom nawet się nie śniła. Doszło, więc też do wyjątkowej katastrofy, gdyż w dwa lata po rozpoczęciu reformowania Niemiec Wschodnich przez Zachodnie, ich dochód narodowy spadł o około 32 procent. Tej głębokości spadek w okresie zaledwie dwóch lat reformowania zanotowała tylko *zdziczała* Albania.

Mimo że minęło ponad dziesięć lat od chwili gdy Kohl, nazwany „kanclerzem zjednoczenia”, zarządził „szokową terapię” w swojej wersji, Niemcy Wschodnie nie wyszły ze swego kryzysu. Dochód narodowy Niemiec Wschodnich w 2000 r. był 5 procent poniżej 1989 r., a główny sektor gospodarki, czyli przemysł, było 45 procent poniżej 1989 r. Wypada, więc, że w ramach budowania kapitalizmu, Niemcy Wschodnie chyba na stałe tracą swoją zdolność produkowania dóbr kapitałowych.

Z rozbitego przemysłu pochodzi większość bezrobotnych, których udział wśród ludzi zdolnych do pracy jest od początku zmian najwyższy w Europie Wschodniej. W 1993 r., oficjalna stopa bezrobocia wyniosła 25 procent, a w 2000 r. była w granicach 20 procent. Pełna stopa jest bliższa 30 procent, gdyż trzeba uwzględnić osoby włączone w rządowe programy szkoleniowe a zwłaszcza rzesze wyrzuconych na wczesne emerytury, które zamieniają Niemcy Wschodnie w „kolonię emerytów”

Wszystkie te plagi można odnaleźć w Polsce, choć jej gospodarka mocniej wyszła z kryzysu, skoro polski dochód narodowy podobnie jak produkcja przemysłowa były w 2000 r. prawie 25 procent powyżej stanu z 1989 r. Nie należy

jednak pocieszać się tym kontrastem, gdyż mimo swych obecnych perypetii, jako część Niemiec, za dekadę Niemcy Wschodnie, choć mniej uprzemysłowione, będą rozwinięte i stabilne jak Niemcy Zachodnie. W przypadku Polski nie wchodzi to w rachubę.

Ścisłej, z co trzecim dorosłym na emeryturze, Polska też stałą się „kolonią emerytów”, tyle, że w odróżnieniu od Niemiec Wschodnich, Polska nie korzysta z takich błogosławieństw, które spadły na Niemcy Wschodnie. Głównie dlatego, że poprzez zjednoczenie Niemcy Wschodnie zyskały dostęp do „opiekuńczego państwa” Niemiec Zachodnich. Gospodarka padła pod uderzeniami „terapii szokowej”, ale mocno wspierani finansowo Niemcy Wschodni poczuli się lepiej.

Natychmiast Niemcy Zachodnie zaczęły wspomagać konsumpcję w Niemczech Wschodnich na poziomie 40 procent całego spożycia. Wyrzuceni na emerytury ludzie uzyskali zasiłki wielokrotnie przewyższające ich dawne płace. Pomimo niższej wydajności, pod presją ogólnokrajowych związków zawodowych Niemcy Wschodni zaczęli dostawać płace takie jak Niemcy Zachodni. Oczywiście, Polska nie może liczyć na żadne takie transfery nawet gdyby weszła do Unii.

Jakby policzyć wszystkie transfery z Niemiec Zachodnich, nie tylko te na wsparcie dochodów ludności, w grę wchodzi nieprzerwane potoki rządu 100 miliardów dolarów rocznie, czyli równowartość trzech piątych rocznego dochodu narodowego Polski. Polska może najwyżej liczyć na kwoty z kasy Unii rządu 5 — 10 miliardów dolarów rocznie dopiero w nieokreślonej przyszłości. Przy czym grozi jej, że będzie się musiała w ogóle wyrzec finansowych roszczeń, żeby zostać przyjęta.

To prawda, że strategia prywatyzacji przez wywłaszczenie pozbawiła Niemców Wschodnich, tak jak Polaków, szansy na własną warstwę kapitalistyczną. Tyle, że Niemcy, jako zjednoczony naród mają swoją narodową klasę kapitalistyczną, więc w odróżnieniu od Polski, Niemcy mają „kompletny kapitalizm”. Wypracowywane w Niemczech zyski nie są, więc przedmiotem wywozu ale mogą być przekute w nowe inwestycje, a więc dodatkowe, może nawet lepiej płatne, miejsca pracy.

Ma to korzystny wpływ na Niemcy Wschodnie, gdyż nawet jeśli te inwestycje dokonują się w Niemczech Zachodnich, możliwe jest przeniesienie się. Faktycznie, od momentu zjednoczenia w Niemczech Zachodnich znalazło pracę ok. 2 miliony Niemców Wschodnich. Proporcjonalnie do wielkości ludności, odpowiadałoby to migracji około 8 milionów Polaków, gdyby Polska dostała taki sam dostęp do rynku pracy w Niemczech Zachodnich, czy też do całego rynku pracy Unii.

Ale otwarcie Unii, nawet Niemiec Zachodnich, dla polskiej siły roboczej jest wątpliwe, o czym może świadczyć fakt, że jak dotąd, biedniejsza Polska tworzy miejsca pracy dla bogatszej Unii. Mimo znacznie niższych płac Polska od lat generuje ogromne deficyty handlowe. W ten sposób zamiast stworzenia w Polsce około 400 tysięcy miejsc pracy, powstały one w krajach, z którymi ma ona deficyty handlowe, czyli u członków Unii, zwłaszcza w Niemczech Zachodnich.

Podsumowanie

W oczach wielu polskich ekonomistów Balcerowicz jest „ojcem reform” polskich, czy wręcz wschodnioeuropejskich, oraz związanych z nimi gospodarczych cudów, a więc również drugim Erhardem. Tyle, że ten niemiecki polityk zamiast „niekompletnego kapitalizmu” stworzył po wojnie „społeczną gospodarkę rynkową”. Z pomocą tego modelu, gdzie związki, pracodawcy i państwo dzielą władzę, nie tylko, że wyrwał Niemcy Zachodnie z prawdziwych ruin, ale zapewnił też prawdziwy cud.

Jeżeli już szukać użytecznych analogii, należałoby porównać Balcerowicza z bardziej współczesnym niemieckim politykiem, Kohlem, niekwestionowanym „ojcem reform” w Niemczech Wschodnich, a także w pozostałej części Europy Wschodniej. W przeciwieństwie do swego poprzednika, Erharda, Kohl nie jest jednak autorem żadnego cudu gospodarczego, gdyż raczej bezwstydnie, chociaż oczywiście nie na trwałe, zmarnował Niemcy Wschodnie, jej przemysł oraz rolnictwo.

Nieświadom tych bliskich współczesnych związków, Balcerowicz podjął się, z gorszym skutkiem, realizacji zbliżonego wzorca zmian systemowych w Polsce nie tyle w roli „ojca reform”, ale „nieślubnego dziecka” Kohla. W ten sposób, chcąc niechcąc, wsparł starania inwestorów z Niemiec Zachodnich, żeby - choćby nawet na znacznie mniejszą skalę - powtórzyć ich wyjątkowo udaną wschodniemiecką operację półdarmowego wykupu kapitału również w sąsiedniej Polsce.

Nie odrobił przy tym swojej lekcji z ekonomii liberalnej, mianowicie, że jak się odda pełną władzę nad reformami w ręce państwa, to może ono tak jak państwo Kohla doprowadzić do tego co niemiecki autor (Jurges 1997) nazwał „sfingowaną aukcją”, która pozbawiła Niemcy Wschodnie kapitału, wpędzając je przejściowo w stan

swoistej „kolonizacji”. Gdyby odrobił tą lekcję, pojawiłby w porę, w jaki stan podobna „sfingowana aukcja” może wpędzić na trwałe Polskę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

UTRWALONE NIERÓWNOŚCI

Przemiany ustrojowe miały zapewnić Polsce powrót do Europy, czyli zbliżenie do jej instytucji oraz jej poziomu życia, ale nastąpiło odejście od Europy, gdyż wdrożono odrębne instytucje, bez szans na zbliżenie poziomu życia.

W jakiś przedziwny sposób, po latach ogromnych wysiłków o odzyskanie pełnej państwowości, a tym samym nieskrępowanej swobody decydowania o losie narodu, polska opinia publiczna poddała się złudzeniom, że usunięcie jednego zagrożenia, rosyjskiego, oznacza koniec wszelkich zagrożeń. Takie naiwne myślenie samo w sobie stało się zagrożeniem dla polskiej państwowości, gdyż stworzyło pokusę dla innych państw, by realizować swoje interesy kosztem tych polskich.

Dwuznaczny rozłam

Żeby zrozumieć, co się stało z polską państwowością, trzeba zacząć od uczciwego spojrzenia na okres gdy powojenna Europa była wyraźnie podzielona na kapitalistyczną oraz komunistyczną, ze stroną komunistyczną pod dominacją Związku Radzieckiego. Opinia publiczna dawno już przyjęła stanowisko, że powojenny podział Europy był totalny a dominacja radziecka była niczym innym jak niewolą. Mało gdzie, wraz z Polską, widać dzisiaj *zapal*, żeby tę sprawę analizować.

Do sprawy tej jednak warto powrócić, gdyż oceny te zawsze cierpiały na nadmiar emocji, niepotrzebnie zaciemniając prawdziwą sytuację Polski. Kto wie czy nastroje antyrosyjskie nie są dzisiaj nawet silniejsze niż te antyradzieckie, gdy komunizm ciągle istniał, więc było więcej powodów do emocji. Na pytanie, jaki kraj ma najbardziej niekorzystny wpływ na Polskę, włącznie z jej zmianami ustrojowymi, zwykle pada dzisiaj odpowiedź — Rosja, a potem jest bardzo długo nikt.

Zarzut sowieckiej niewoli ma coś do siebie, gdyż komunizm nie miałby szansy w Polsce bez dyktatu Sowietów po wygranej z Niemcami wojnie. Ale na tym kończy się jednak istota powojennej sowieckiej niewoli, gdyż faktycznie gdyby nie zaskakująca zgoda samego Związku Radzieckiego na odejście od tego systemu, Polska ciągle byłaby w jego jarzmie. Ale wszystkie inne aspekty tej niewoli, a lista ich jest długa, nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością, przynajmniej od chwili gdy padł stalinizm.

Przez niewolę rozumie się bowiem też, że Związek Radziecki był właścicielem majątku Polski, ale to nijak się ma do stanu faktycznego. Formalnie, nic nie należało do Sowietów, w przeciwnym razie po upadku komunizmu mieliby tytuł do sprzedaży polskiego majątku, ale do tego nie doszło. Polski rząd nie musiał podejmować żadnych kroków prawnych, żeby wydziedziczyć Związek Radziecki; jedyny krok, jaki rząd podjął, polegał na wydziedziczeniu obywateli na rzecz aparatu państwa.

Inni dowodzą, że nawet jeśli Sowietci nie posiadali majątku, to go używali przez narzucanie Polsce produkcji w zgodzie z potrzebami Związku Radzieckiego. Bez wątplenia, choćby ze względu na ścisłą kontrolę dostaw energii, Związek Radziecki miał wiele do powiedzenia. Tyle, że ta kontrola nie mogła być zbyt rozległa, skoro całkowita wymiana towarowa pomiędzy Związkiem Radzieckim a Polską stanowiła raptem 10 procent całości polskiego dochodu narodowego.

W tym miejscu krytycy wtracają, że nawet jeśli wymiana handlowa nie była zbyt rozległa, Związek Radziecki wykorzystywał swoją dominującą pozycję, żeby eksploatować Polskę. Ulubiony przykład to dostawy polskiego węgla po *zaniżonych* cenach za Bieruta, ale to nie jest dowód eksploatacji. Starty dla Polski wynikały nie z dyktatu odbiorcy, ale ze sztywnego systemu cen, tak, że gdy do władzy doszedł Gomułka to wymógł na Sowietach pełną rekompensatę strat.

Istnieje jeszcze inny dowód na nieekwiwalentną wymianę, tyle, że wskazuje on na bardzo poważne, choć przejściowe, straty ze strony Związku Radzieckiego, w związku z zaniżonymi cenami jego energii. Stało się tak, gdyż sowieckie ceny zostały przez lata sztywne, podczas gdy pod wpływem kryzysu w 1979 r. ceny światowe podniosły się trzykrotnie. Na ten temat istnieje cała masa szczegółowych badań amerykańskich (Marrese and Yanous, 1983, oraz Poznański 1989).

Warto to wszystko wziąć pod uwagę, w szczególności zaś fakt, że w ramach sowieckiej niewoli Polska nie tylko była wolna od sowieckiej własności na swych terenach, ale, co ważniejsze, cieszyła się pierwszym w swej

nowoczesnej historii systemem, w którym własność była wyłącznie narodowa. Natomiast posowiecka Polska, bez narzucania, zbudowała system bez narodowej własności. Gdyby, więc użyć tylko kryterium własności wypadłoby, że obecna Polska musi być bardziej, a nie mniej wolna.

Nie ma nawet co się spierać z faktem, że z racji braku swojej własności Polska musi być dzisiaj mniej wolna, ale może przynajmniej ma kontrolę nad produkcją, a tym samym sytuacja jest lepsza niż za sowieckiego dyktatu. Jest odwrotnie, gdyż ten kto ma własność ma też kontrolę, więc obcy właściciele nie dyktują już tylko będące przedmiotem handlu 10 procent dochodu narodowego, co się zarzuca byłym Sowiecom, ale 50 procent, tego z banków oraz przemysłu.

Gdyby zestawić niedowiedzioną, mimo dziesięciu lat otwartych archiwów komunizmu, eksploatację Polski przez Sowieców z obecną, wychodzi znowu, że jest więcej niewoli. Nie da się ukryć, że narzucając Polsce komunizm, Związek Radziecki skazał ją na dalsze gospodarcze zacofanie, ale nie wykorzystał swojej dominującej pozycji, żeby wyrwać prawie cały polski kapitał trwały za 10 procent jego realnej wartości, jak to teraz uczyniły inne kraje, w tym zwłaszcza Niemcy Zachodnie.

Kolejne cofnięcia

Gdyby na ten najnowszy obrót rzeczy spojrział historyk gospodarczy, mógłby się zastanowić czy obecna zamiana rozmiękczonego komunizmu na „niekompletny kapitalizm” mieści się przypadkiem w jakimś ogólniejszym trendzie. Zapytałby, czy zbudowany po wojnie komunizm, jak również zbudowany po jego upadku kapitalizm, nie mogą być potraktowane jako kolejne próby przyspieszenia modernizacji gospodarki Polski, która zaczęła się mniej więcej dwa stulecia wstecz.

Szukając takich trendów, przez te stulecia, nieuprzedzony historyk musiałby dojść do wniosku, że Polska, tak jak reszta Europy Wschodniej, bardzo słabo radziła sobie z modernizacją. W dodatku ta część Europy wystartowała z poważnym opóźnieniem do tzw. rewolucji przemysłowej. Nigdy też nie udało się jej zasypać luki gospodarczej, jaka wyłoniła się w momencie tego rozłamu, który spowodował trwały podział kontynentu - można go nazwać „tektonicznym pęknięciem”.

Tego typu podział mógł mieć tylko swoje źródła w tym, że Polska okazała się niezdolna na czas do przetworzenia swoich instytucji na modłę tego, co w momencie rewolucji stworzyła Europa Zachodnia. Nie może być inaczej, gdyż wszystkie istotne różnice w wynikach gospodarowania biorą się z różnic w instytucjach. Europa Zachodnia wybrała wtedy kapitalizm, z jego instytucjami, wolnym rynkiem i nowoczesnym państwem, natomiast Europa Wschodnia tkwiła nadal w feudalizmie.

Brak nowoczesnego państwa okazał się szczególnie dotkliwy, gdyż bez państwa nie jest możliwe działanie wolnych rynków, a bez tych ostatnich nie ma miejsca na powstanie klasy kapitalistycznej. Wyłoniła się, więc dziwna sytuacja, w której z powodu braku własnej klasy kapitalistycznej, zadanie rozwijania gospodarki spadło na element napływowy. A zwłaszcza na państwo, tyle, że państwo nie było w pełni rozwinięte — nie było nowoczesne — więc stało się ono swoistą barierą rozwoju.

Od chwili „tektonicznego pęknięcia”, państwo zabrało się do okresowej wymiany istniejących instytucji, z reguły w sposób drastyczny i nieprzystosowany do prawdziwych potrzeb. Zwrócił na to uwagę amerykański historyk Berend (1986), nazywając te wymiany „negatywnymi reformami”. Poczynając od próby odpowiedzenia na wzrost popytu na żywność z przemysłowej Anglii, nie przez rozszerzenie prywatnej własności, ale przez odbudowę systemu pańszczyźnianego.

W kolejnych próbach nie cofano się do wczesnego feudalizmu, ale kopiowano wzorce z kapitalistycznej Europy Zachodniej, znowu w formie „negatywnych reform”. Tak się stało na przełomie wieku, gdy postanowiono pełniej wykorzystać państwo do aktywizacji własnej gospodarki. Tyle, że pozbawione niezbędnych demokratycznych ograniczników państwo wdało się w działania nastawione bardziej na jego własne potrzeby niż te rodzącego się przemysłu oraz bankowości. Z niepowodzenia tej kolejnej, już kapitalistycznej próby, wyrosła popularność komunizmu jako ruchu modernizacyjnego, obiecującego swój sposób na przełamanie gospodarczego zapóźnienia. Mimo swego antykapitalistycznego nastawienia, była to w istocie próba imitacji kapitalizmu. Tyle, że w grę wchodziła imitacja nie takiego kapitalizmu, jaki wtedy działał powiedzmy w Europie Zachodniej, ale raczej imitacja systemu, do którego ten kapitalizm miał ponoć nieuchronnie zmierzać.

Komunizm nie okazał się jednak konkluzją kapitalizmu czy jego ukoronowaniem, ale nieporozumieniem, czyli kolejną „negatywną reformą”, tyle, że nie ostatnią. Właśnie Polska oraz reszta Europy Wschodniej dopisały następną rozdział w tworzeniu nieudanych kopii instytucji

z Europy Zachodniej. Tym razem, przez budowę kapitalizmu, który podobno tam ma istnieć, ale którego tam nie ma, mianowicie „niekompletnego kapitalizmu”, w którym ciągle brak klasy średniej.

Ponieważ te kolejne, bez wyjątku radykalne, reformy okazały się nieudane, zamiast zredukować zapóźnienie wobec Europy Zachodniej Polska zezwoliła na jego pogłębienie. W momencie „tektonicznego pęknięcia”, dochód na mieszkańca w Polsce wynosił 90 procent średniej obliczonej dla Europy Zachodniej. Kiedy na początku wieku Polska przystąpiła do przyspieszonej industrializacji, dochód na mieszkańca wyniósł 40 procent średniej, czyli że chodziło o różnicę całych pokoleń.

Mimo swych ambitnych planów prześcigania rozwiniętego kapitalizmu, komunizm, jako „negatywna reforma”, doprowadził do pogłębienia dystansu. Pod koniec tej nieudanej próby stworzenia czegoś wydajniejszego niż ówczesny kapitalizm, przeciętny dochód w Polsce stanowił 30 procent średniej.

Po upadku komunizmu, w trakcie budowy „niekompletnego kapitalizmu”, w wyniku głębokiej recesji, Polska spadła do około 25 procent poziomu Europy Zachodniej (Janos2001).

Trudno ocenić, jak dalek potoczą się losy polskich wysiłków modernizacyjnych, ale jedno jest pewne, że związane z „niekompletnym kapitalizmem” przepływy części polskiego dochodu narodowego w formie zysków i rent, tych z nieopłaconej siły roboczej, do Europy Zachodniej, będą utrudniały zasypywanie luki w poziomie życia między Polską a Europą Zachodnią. W najlepszym chyba razie możliwe będzie utrzymanie wyjściowego dystansu, czyli obecnego stanu marginalizacji.

Uścisk globalizacji

Kiedy już sięgnęliśmy do historii, żeby zrozumieć sens obecnych wydarzeń, warto przywołać inny ważny trend, mianowicie, że ze względu na swoją słabość gospodarczą, państwo, tak w Polsce, jak i w innych krajach Europy Wschodniej, było wyjątkowo słabiutkie. Z tego powodu, kraje te stale znajdowały się w obliczu ograniczenia lub utraty państwowości. Dowody są liczne, włącznie z przypadkiem rozbiorów Polski, które przerwały polską państwowość na przeszło stulecie.

Może to zabrzmieć dziwnie, ale wygląda na to, że jedynym dotąd w polskiej historii momentem, w którym państwo było nowoczesne był epizod komunizmu. Sam nie miałbym chyba odwagi napisać takiego zdania, gdyby nie to, że zdanie takie padło z ust byłego bardzo znanego dysydenta z Węgier, Tamasa (1999). Dzisiaj ze względu na swoje krytyczne opinie w sprawie transformacji ustrojowej ten filozof społeczny jest znowu w opozycji, już legalnej, ale równie nie tolerowanej.

Trudno mi się oprzeć, żeby nie przywołać pełniej jego opinii, że zmiany ustrojowe po komunizmie nie polegają na budowaniu czegokolwiek, ale na niszczeniu tego co zastano. To co zastano to była forma nowoczesności, natomiast to co się teraz stało to forma barbarzyństwa. Zamiast ulec reformie, byłe państwo jest używane dla pośpiesznego wzbogacenia się przez plemiennych wodzów. Obojętnych wobec marnego losu współplemieńców, porzuconych w szarych blokach.

Powyższa opinia, ani moje powołanie się na nią, nie są żadną próbą wybielenia komunizmu, ale zwrócenia uwagi na fakt, że komunizm wprowadził system biurokracji. W tym okresie, autorytet państwa był bardzo wysoki, nie tylko ze względu na strach, ale też jego ogólną sprawność. Działanie aparatu państwa oparte zostało na ścisłych regułach, na tyle przestrzeganych przez służbę publiczną, że zajmowała się przede wszystkim realizacją funkcji wyznaczonych organom władzy.

Żeby nie było jakiś wątpliwości: komunistyczne państwo było oczywiście ideologiczne, tak, że spajała je bardziej doktryna niż prawo; co więcej, przemoc odgrywała w nim wielką rolę. Ale to ciągle było państwo porównywalne do logiki państwa, które zbudowały rozwinięte kraje Europy Zachodniej. Trzeba bowiem pamiętać, że instytucja nowoczesnego państwa nie jest z definicji demokratyczna, może wystąpić w najróżniejszych formach, w tym w formie niedemokratycznej. Wymowę tego wywodu można łatwiej pojąć, jak się uwzględni fakt, że ze względu na wspomnianą historię braku państwowości, kraje Wschodniej Europy nie miały wiele czasu, żeby budować nowoczesne państwo. Okres międzywojenny był niedostatecznie długi - także dla Polski. Choć udało się jej spojrzeć trzy byłe zabory w jedną całość, jej państwo do końca było rozdzielane politycznymi sporami. Chyba z tej racji, Niemcy politycy nazywali to polskie państwo „sezonowym”.

Na rzecz oceny komunizmu, jako krótkiego okresu, gdzie działało nowoczesne państwo, tyle, że opanowane błędną wizją historii, przemawia jeszcze bardziej opłakany stan państwa po komunizmie. Polska miała „wrócić” do historii, należy rozumieć do tej z kapitalizmem, czyli przedwojennej. Tyle, że nie wróciła nawet do tego stanu w jakim była w okresie międzywojennym.

Nie można niestety wykluczyć, że państwo polskie jest właściwie w stanie samolikwidacji.

Tak znaczne osłabienie polskiego państwa byłoby bez znaczenia, gdyby prawdą było to co mówią zwolennicy tzw. globalizacji, pojętej jako zanik państw na rzecz rynku, czyli korporacji. Osobiście uważam to za nonsens, ale nawet gdyby to była prawda, nie należy wnosić, że ta *zapaść* polskiego państwa nie niesie za sobą zagrożenia. A to dlatego, że nawet jeśli w wyniku globalizacji, inne państwa nie będą zagrożeniem, może ono dalej przyjść z zewnątrz pod inną postacią, tychże korporacji.

Ale prawda o globalizacji jest taka, że istotnie korporacje stały się potężniejsze niż kiedykolwiek, tyle, że zamiast wymieść państwo, mają je teraz po swojej stronie. Korporacje z Europy Zachodniej nie wchodzi do Polski na własną rękę, ale z pomocą państwa oraz Unii Europejskiej. W tej roli, państwa nie kierują się względami politycznymi, w tym poszanowaniem innych państw, ale logiką ekonomiczną, bo to jest jedyna logika, która rozumieją ich zorientowane na świat korporacje.

Z tego też względu, prowadzone przez Unię negocjacje nie wiele mają dzisiaj wspólnego z budowaniem „wspólnego domu”, jak wówczas, gdy przyjmowano byłe, faszystujące, dyktatury, czyli Grecję, Hiszpanię czy Portugalię. Nie stawiano wtedy niewykonalnych *żądań*, które zaspakajałyby potrzeby własnych korporacji kosztem osłabienia tych zacofanych gospodarek, a tym samym ich przebudowywanych państw. Odwrotnie, otwarto kasę na wielką skalę do czasu likwidacji zacofania.

Dzisiaj, ta sama organizacja deklaruje chęć budowy „wspólnego domu” z Polską, tyle, że w trakcie stale uzgadnianych reform następuje osłabianie jej zacofanej gospodarki oraz rujnowanie jej państwa w przebudowie. Przejmowanie większości fabryk i banków spowodowało, że zamiast wejść do „wspólnego domu” Polska staje się bezdomna. Wraz z tym staje się również bezrządna, a tym samym coraz mniej zdolna do unijnego członkostwa, przynajmniej jako suwerenny kraj.

Podsumowanie

Nie do utrzymania jest obecna pewność siebie, że Polska wyrwała się ze swojej trudnej historii, okresowego obezwładniania przez obce potęgi, gdyż być może właśnie wróciła do tej trudnej historii. Zwłaszcza jeśli prawdą jest, że - jak pisze wybitny francuski politolog Moisi (1999) - cała Europa dokonała zwrotu w stronę tzw. *ancien regime*. A więc porządku działającego przed wybuchem Rewolucji Francuskiej, w którym jedne kraje słabły dając okazję innym krajom, by narzucały im swoją wolę.

Dzisiaj znowu silni prowadzą gry, które bezceremonialnie łączą lub dzielą słabsze kraje, z tym, że „międzynarodowe” korporacje o narodowym charakterze są odpowiednikiem absolutnych monarchów. Obecny odpowiednikiem -związanej z monarchą-arystokracji są akcjonariusze, równie egoistyczni i pasywni. Wciśnięte między korporacje oraz akcjonariuszy, państwo staje się wobec nich służebne, posłusznie asystując w ich próbach łączenia i dzielenia osłabionych krajów.

Przez swoje cyniczne posunięcia na arenie międzynarodowej monarchowie przyśpieszyli Rewolucję Francuską, zwłaszcza przez dwa podziały terytorium Polski, odpowiednio w 1772 oraz 1795 roku. Ten sam cynizm, żarłocznych monarchów, starających się podporządkować słabsze kraje, doprowadził do rozdźwięków między mocarstwami. A to dlatego, iż głęboko poderwał, zwłaszcza ze względu na machinacje pruskiego Fryderyka Wielkiego, ich wzajemne zaufanie do siebie.

Jeśli chodzi o obecną europejską scenę, historia może się łatwo powtórzyć, w tym sensie, że znowu powodem do regionalnej zawieruchy może się stać, choć pozbawiony tym razem udziału Rosji, „międzynarodowy” podział Polski, czy to z zachowaniem jej granic, czy bez. W ten sposób, ponownie, w bolesny sposób politycy nauczą się, że ekonomia nie może *rządzić* polityką, krajową czy światową, oraz że u podłoża ludzkich zachowań leży potrzeba wolności, własnej i zbiorowej.

POSŁOWIE

Konkludując, w wyniku reform podjętych po upadku komunizmu został zmarnowany polski system gospodarczy, gdyż w wyniku wyprzedazy majątku obcym kapitalistom, polski kapitalizm stał się głównie niepolSKI. Pod wpływem błędnych reform zrujnowana została również narodowa gospodarka, gdyż jej potencjał nie pracuje wcale na rzecz lokalnej siły roboczej. Nawet jeśli gospodarka polska będzie sobie dobrze radzić, nie musi wyjść to wcale na dobre polskiej sile roboczej.

Ten zbiorowy akt samozniszczenia mógł się dokonać tylko dlatego, że świadomość społeczna oparta jest od początku reform ustrojowych na powtarzanych w nieskończoność kłamstwach. Choć z gruntu nieprawdziwe, przyjęte opinie o reformach, składają się o dziwo w całkiem spójną całość, tak, że wydają się poważne. Dlatego, na niewiele się zda wykazanie błędności jednej z tych opinii. Można naruszyć ten system myślowy dopiero jeśli podważy się go jako całość.

Właśnie dlatego, że u źródeł katastrofy leżą nawarstwienia fałszywej świadomości, wydostanie się z obłędu reform wydaje się prawie niewykonalne. Ostoją tej świadomości w obecnej Polsce jest głębokie przekonanie, że kapitalizm musi się udać, gdy się go naprawdę zechce, zwłaszcza, że dookoła jest bujny świat kapitalizmu. Jeśli nie własnymi siłami, to kapitalizm będzie dziełem tych, którzy już opanowali jego tajniki, czyli wytrawnych zagranicznych kapitalistów.

To prawda, że niedawno świat kapitalizmu przyłożył się do obalenia polskiego komunizmu, a w ostatnich latach przysłużył się również do budowy polskiego kapitalizmu, tyle, że wypaczonego. Mimo to, nie można liczyć, że ten sam świat kapitalizmu teraz znowu się włączy, żeby zmieniać, a tym bardziej obalać polską patologię. Może on pogodzić się z tą patologią, gdyż najlepszy na jaki ludzkość stać gospodarczy ustroj kapitalizmu potrafi się wyżywić nawet odpadkami.

W porównaniu z żywotnym kapitalizmem, komunizm był słabowitym systemem, skazanym na upadek. Tak, że wymierzony weń antykomunizm, mógł sobie całkiem nieźle, jak w Polsce, radzić z komunizmem. Inaczej przedstawia się jednak rzecz z kapitalizmem, któremu jako ustrojowi upadek nie grozi. Dlatego ewentualny ruch wymierzony przeciw jego „niekompletnej” wersji, nawet gdyby był tak silny jak polski antykomunizm, nie miałby takich szans powodzenia.

Alternatywa liberalna

W interesie zwolenników „niekompletnego kapitalizmu” leży utrzymanie powszechnego dzisiaj przeświadczenia, że Polska nie miała innego wyjścia. Uważają się oni za liberalnych ekonomistów, ale nie mają z nimi nic wspólnego, więc tylko przez ignorancję ich reformy określane są jako liberalne. Gdyby bowiem autentyczny liberalny ekonomista zabierał się do wymiany systemu tak, by zamiast planów rządził nim rynek, wybrałby przeciwną strategię niż tzw. liberałowie.

Po pierwsze, w prawdziwie liberalnej strategii reform zadbałby najpierw o zdrową sytuację polityczną, czyli o sprawne państwo. Z całą swoją doktrynalną wiarą w działanie wolnego rynku, liberalny ekonomista rozumie bowiem, że jeśli państwo jest zepsute, to nie ma żadnej szansy na przyzwoity rynek, najwyżej na jakąś jego karykaturę. A to dlatego, że normalny rynek opiera się na egzekwowanym prawie, a takie prawo bazuje z kolei na państwie, które stoi na straży prawa.

Kiedy nastał czas reform, w 1989 r., tzw. liberalne kręgi uznały, że właśnie zakończyła się rewolucja, która zmiotła stary polityczny porządek. Pozostały, więc tylko do zrobienia reformy w systemie gospodarki. W rzeczywistości nie było żadnej rewolucji, gdyż komunizm zniszczyła ogólna demoralizacja. Kiedy więc zmęczona władzą mono-partia skapitulowała, pozostało po niej tylko zżerane korupcją państwo. Zatem nie było nadziei, żeby rynek znalazł właściwą obudowę prawną.

Największa komplikacja wynikała jednak stąd, że mocno nadwyreżone państwo miało się ewentualnie zająć prywatyzacją, czyli rozdysponowaniem publicznego majątku, jako że bez prywatnej własności nie może być rynku. Powstało realne niebezpieczeństwo, że w trakcie tej przebudowy stosunków własnościowych dalej się będzie walić państwo. Zmiany ustrojowe w sferze własności dostarczyłyby bowiem okazji do rozlania się korupcji na jeszcze większą niż wcześniej skalę.

Z galopującym rozkładem państwa jego aparat mógłby też zacząć zaspakajać swoje własne potrzeby kosztem zastanych zasobów środków produkcji. Innymi słowy, po rabunkowej gospodarce komunizmu przyszedłby rabunkowy postkomunizm z jego własnymi sposobami na marnowanie zasobów. Mogłoby się nawet okazać, że ideologiczne państwo z epoki komunizmu nie było w stanie dokonać takich zniszczeń w substancji gospodarki jak skorumpowane państwo postkomunizmu.

Ponieważ z prywatnej korupcji nie mogą w żaden sposób wynikać publiczne korzyści, celowe było utrzymanie niektórych z istniejących instytucji nadzoru nad aparatem państwa, zwłaszcza nad jego sektorem gospodarczym. Ekspansja sektora prywatnego musiała poszerzyć możliwości nadużyć w sektorze państwowym, więc nie trzeba było likwidować np. pionu przestępczości gospodarczej w policji. Należało natomiast zaraz stworzyć nowe instytucje, np. skarb państwa.

Zapanowanie nad państwem nie było możliwe bez ścisłego parlamentarnego nadzoru, ale instytucja sejmowa wymagała czasu na konsolidację. Można, więc było dodatkowo oprzeć się na rozwiniętej za komunizmu kontroli społecznej oraz Kościele, który zbudował wielki autorytet nie tyle na potępieniu komunizmu, co na walce o interes narodowy (np. wtedy, gdy wsparł tzw. stan wojenny, bo przeciągający się ostry konflikt partii z „wolnymi” związkami groził narodową klęską).

Po drugie, gdyby państwo kwalifikowało się już to tego, żeby mu powierzyć reformy gospodarcze, powinno ono skupić się na przemianach własnościowych, tyle, że ograniczając swoją rolę do minimum. Liberalna ekonomia wypowiada się bowiem nie tylko przeciw mieszanemu państwu w alokację zasobów, jako domeny działania jednostek, czyli rynku. Uważa też, że nawet gdy państwo jest zdrowe, jednostki winny same - czyli rynkowo - skonstruować rynek.

Skoro komunizm zostawił po sobie głównie niewydajną własność państwową, istniała pokusa, żeby od zaraz ją sprywatyzować. W myśl liberalnej ekonomii oznaczałoby to jednak nadmierną ingerencję, która zakłóciłaby, a nawet sparaliżowała działanie tego sektora. Z braku czasu na przystosowanie, w drodze do prywatyzacji, sektor państwowy mógłby obniżyć swoją niezadowalającą wydajność, a następnie wpaść w głęboką zapaść, ciągnąc za sobą w dół nawet całą polską gospodarkę. Biorąc to pod uwagę, państwo nie miało innego wyboru, jak ograniczyć się w sektorze państwowym do płytkich reform, zwłaszcza zwiększenia wynagrodzeń kierowniczych. Najlepiej przez tzw. kontrakty menadżerskie, które uzależniałyby wysokość wypłat od poziomu wykorzystania majątku. Wzmocniłoby to motywację oraz skłoniło do zachowania posiadłości ze strony doświadczonych kadry, kuszonych przez możliwości niekontrolowanych dochodów w sektorze prywatnym.

Zasada minimalizacji ingerencji państwa nie wykluczała jednak tego, by od razu przystąpić do prywatyzacji, tyle, że głównie oraz przez oferty na małe pakiety akcji, czyli bez prawa do większości głosów w zarządzie. Żeby bez perturbacji przekazać całe fabryki i banki, niezbędna była obecność krajowego sektora prywatnego na taką skalę, żeby mógł dostarczyć dostatecznej liczby doświadczonych inwestorów oraz żeby krajowe banki dysponowały już odpowiednimi funduszami.

W związku z tym, warunkiem sukcesu zmian własnościowych nie było grzebanie w sektorze państwowym, ale raczej szerokie otwarcie możliwości startu prywatnych biznesów. Gdyby wyzwolić prywatną inicjatywę, wtedy nawet bez prywatyzacji sektor prywatny zdobyłby dominację, a państwowy zszedłby na margines. Z wyższą wydajnością, sektor prywatny mógłby rosnąć nawet dwa razy szybciej niż państwowy, tak, że uzyskałby przewagę już po około dziesięciu latach.

Państwo mogło się wstrzymać ze sprzedażą na dużą skalę do tego właśnie momentu również dlatego, że dopiero wtedy popyt na majątek ze strony krajowych inwestorów byłby dostateczny, żeby żądać godziwych cen. Oraz, żeby z pomocą takich cen wyselekcjonować najlepiej przygotowanych nabywców. Nawet wtedy nie było wskazane, żeby wyrzucać cały majątek na ladę, ale raczej działać metodycznie, w takim tempie, żeby państwo mogło właściwie skalkulować ceny zbytu.

Po trzecie, w prawdziwym liberalnym wariacie nie można zamknąć kraju na kłódkę, nie dopuszczając w ogóle zagranicznych inwestorów. Nie wolno jednak zezwolić na to, żeby bez ograniczeń mieli oni dostęp do narodowej gospodarki, zamieniając ją w swoiste więzienie. Ekonomia liberalna nigdy nie postulowała absolutnego otwarcia, ale jedynie to, żeby w miarę swoich potrzeb każda gospodarka określiła najlepszy dla siebie zakres zagranicznej obecności kapitałowej.

Najlepszy zakres jest zaś taki, który wzmacnia miejscowych inwestorów zamiast podcinać ich egzystencję, przeto ze względu na zacofanie krajowej klasy kapitalistycznej nie można było się obyć bez okresowego zakazu sprzedaży obcym inwestorom kontrolnych pakietów w istniejących fabrykach i bankach. Zwłaszcza tych z mocną pozycją na lokalnym rynku, gdyż ich sprzedanie w zagraniczne ręce ułatwia,

na zasadach reakcji łańcuchowej, przejęcie powiązanych z nimi firm.

Ponieważ zakupy istniejących starych firm nie muszą prowadzić do modernizacji, właściwszym rozwiązaniem jest zezwolenie na wsady rzeczowe z zamianą na akcje. Jeszcze korzystniejsze jest zezwolenie obcym inwestorom na zakładanie nowych fabryk i banków, tyle, że z góry należałoby przyjąć górny limit własności zagranicznej w oparciu o aktualną średnią dla Unii, albo średnią jaką miały w momencie akcesu do Unii najnowsze kraje członkowskie; Grecja, Hiszpania i Portugalia.

Krajowi inwestorzy mają nie tylko pełne prawo do ochrony własności, ale też rynków, gdyż utrata rynków może się skończyć bankructwem ich firm, bądź wrogim przejęciem przez zagranicę. Liberalna ekonomia preferuje otwarte gospodarki, które handlują bez skrupowania z całym światem, ale nigdzie w tej ekonomii nie jest powiedziane, że należy likwidować taryfy celne gdy gospodarce grozi wyniszczenie czy też wydarcie większości jej majątku przez obcych.

Ze względu na polskie zacofanie, najlepiej było znowu pójść śladem Unii, której państwa starannie chronią swoje zagrożone konkurencją sektory produkcji. Ze względu na większą obecność takich wrażliwych na import sektorów, polska gospodarka wymagała jeszcze większej ochrony.

Zamiast układów opartych na głębokich ustępstwach celnych, zwłaszcza jednostronnie korzystnych dla Unii, polska gospodarka pilnie potrzebowała jednostronnych koncesji ze strony Unii.

W niektórych sektorach, zwłaszcza tych dających duże zatrudnienie, tylko długookresowe wysokie bariery dla importu dawały szansę na przetrwanie. Dotyczy to szczególnie rolnictwa, gdzie do dyspozycji są trudniejsze do obrony przed unijnymi negocjatorami cła tzw. zaporowe. Mniej drażliwe są natomiast subsydia na poziomie tych, z których żyją unijni rolnicy, czy też tak powszechny w Unii środek jak wymagany procentowy udział krajowej żywności w hurcie i detalu.

Powyższa alternatywna strategia w dużym stopniu pokrywa się ze scenariuszem zmian ustrojowych, który przyjęła, jak dotąd jako jedyna w Europie Wschodniej, Słowenia. To, że wyłącznie Słowenia przyjęła liberalny kierunek reform, bez wyprzedaży zagranicy, nie oznacza jednak, że nie nadawał się on dla innych krajów regionu. Ale tylko w Słowenii zostały zapewnione warunki dla jego realizacji, mianowicie odpowiedzialny aparat państwa zabiegający o interesy swej gospodarki.

Pod wieloma względami sytuacja wyjściowa Polski i Słowenii była podobna, choćby przez fakt, że obydwa kraje miały za sobą lata emancypacji gospodarczej od silniejszych sąsiadów, odpowiednio Rosji i Serbii. Podobnie jak fakt, że w obydwu krajach pozycja załóg była bardzo silna; w Polsce dzięki „niezależnym” związkom, w Słowenii - dzięki tzw. partycypacyjnemu modelowi firm. Gdyby, więc Polska tylko zreperowała państwo, to mogłaby bardzo łatwo pójść szlakiem Słowenii.

Wówczas, zamiast paść ofiarą pisanego palcem na wodzie „cudu Balcerowicza”, Polska mogłaby się rozwijać jak Słowenia, która znalazła się pierwsza w kolejce do przyjęcia przez Unię. Przykład Słowenii dowodzi, nie tylko, że można stworzyć dynamiczną, odporną na kryzysy, gospodarkę bez oddania majątku zagranicy. Wskazuje również, że Unia nie żąda od każdego petenta, by najpierw wyzbył się na jej rzecz swego majątku, ale że wybór należy tylko do kraju-kandydata.

Tzw. liberałowie przemilczają przypadek Słowenii, gdyż ten podważa całą ich mitologię „polskiej drogi” do kapitalizmu. Wygodnie zapominając o tym, że Słowenia odniosła sukces wybierając inną drogę, powtarzają w kółko, że wyłącznie polska strategia pozwala na udaną budowę kapitalizmu. Każda inna prowadzi do klęski jaką poniosła Białoruś, która nie tylko zaniechała sprzedaży swego majątku zagranicy, ale w ogóle nie wpuściła obcych inwestycji (np. Lewandowski 2000).

Białoruś rzeczywiście poszła inną drogą niż Polska, ale niestety, porównania statystyczne nie dają wcale podstawy do wniosku, że poniosła klęskę. Atak medialny na Białoruś jest jednak tak zmasowany, że mało kto sięga do danych, z tym, że nie chodzi głównie o porównania z Polską. Polskę ominął szok, który przeżyła Białoruś w wyniku rozpadu Związku Radzieckiego. Podobny szok przeżyły inne byłe republiki, więc wyniki Białorusi powinno się porównywać raczej z nimi a nie z Polską.

Gdy przyjmiemy tę perspektywę to widać, że taki post-sowiecki kraj jak chwalona Estonia, w której przyjęto „polską drogę”, z szybkim wywłaszczeniem na rzecz zagranicy, wypada gorzej niż Białoruś, bez prywatyzacji na rzecz kogokolwiek. Najlepiej to widać w przemyśle, gdyż na Białorusi zbliża się on do poziomu z 1989 r., podczas gdy w Estonii produkcja przemysłu jest ciągle o prawie połowę niższa niż w 1989 r.; stąd wyższa jest też estońska stopa bezrobocia (Załącznik 4).

Starannie ukrywana przez tzw. liberałów tajemnicą jest fakt, że w ostatnich czterech latach dochód narodowy Białorusi wzrósł o jedną trzecią. Białoruś znalazła się wśród najszybciej rozwijających się gospodarek regionu - przed szybko tracącą oddech Polską. Gdyby oprzeć się tylko na tych danych, wpadłoby zaprzestać straszenia

Polaków „białoruską drogą”. Zwłaszcza, że Białoruś nie popełniła zbiorowego samobójstwa oddając obcym swój majątek za „bezdurno”.

Wybryk rewolucji

Ze względu na radykalizm reform wykonanych przez prawie pozbawiony kontroli aparat państwa, wytyczony w 1989 r., za rządów Mazowieckiego, scenariusz budowy kapitalizmu ma swe źródła nie tyle w liberalnej myśli co w doktrynie marksowskiej. Jego skutki dla gospodarki są zresztą podobne do tych, które zawsze niosą za sobą marksowskie rewolucje. Mamy przeto w Polsce, dzięki tzw. liberałom, nieznaną nigdzie w Europie Zachodniej aberrację instytucjonalną.

Po pierwsze — wdrożony został swoisty marksowski ideał gospodarki, w której brak jest krajowej klasy kapitalistycznej, a jest tylko robotnicza. Oczywiście, kapitaliści są obecni, tyle że zagraniczni, można rzec z importu, ale niestety nie na takich zasadach jak w przeszłości. W polskiej historii, napływowy element odgrywał zwykle dużą rolę w gospodarce, ale też często ulegał on polonizacji. Teraz nie ma takiej nadziei, gdyż obcy kapitaliści zakładają w Polsce jedynie filie.

Nie ma mowy o zintegrowaniu tych importowanych kapitalistów, choćby w tym sensie, żeby rozwinęli poczucie odpowiedzialności za losy lokalnych robotników. Gdy właściciele nie czują tego rodzaju odpowiedzialności, wtedy robotnicy też nie mają powodu aby być lojalni wobec właścicieli, piana się więc potencjalnie niestabilna sytuacja, którą można opanować tylko przez powszechne oglupienie albo przez odwołanie się do przemocy, podobnie jak to się działo za komunizmu.

Importowanie kapitalistów to być może łatwiejszy sposób na budowanie kapitalizmu, niż tworzenie własnych kapitalistów, ale jak to bywa z importem, trzeba zań zapłacić.

Nawet słono, gdyż majątek sprzedawany jest zagranicy za dziesięć procent wartości, co wydaje się niemożliwością. Nikt nie podważył jednak tego wyliczenia, nie można bowiem wziąć na serio kilku absolutnie urągających podstawowym zasadom akademickiej ekonomii usiłowań (Bugaj 2000; Glikman 2001).

Przekazanie budowanego przez pokolenia majątku za ułamek wartości to tylko wstępny koszt nabycia kapitalistów z importu; do tego dochodzi stały doroczny koszt ich utrzymania. Za psie grosze oddano bowiem obcym inwestorom tytuł do dochodu z kapitału, czyli zysków. Inne źródło finansowania przyrostu majątku, kredyt bankowy, też znalazło się pod kontrolą zagraniczną. Odebrano więc gospodarce nie tylko trwałą majątek ale i możliwość jego samodzielnego odtworzenia.

Nie miałyby to tak groźnej wymowy, gdyby motyw maksymalizacji zysku sam z siebie zapewnił, że zagraniczni właściciele polskiej gospodarki zadbają o jej interesy. Tyle, że, odwrotnie niż sobie to wyobrażają tzw. liberałowie, zagraniczni właściciele nie walczą o zyski dla dobra ludzkości. Robią to głównie dla swoich udziałowców, wśród których brakuje niestety polskich akcjonariuszy. Ale też pod naciskiem działających u nich w kraju związków zawodowych, a nie tych polskich.

Dziw bierze, że tzw. liberałowie zapomnieli również o tym, że w kapitalizmie firmy nie świadczą sobie wzajemnych uprzejmości. Kapitalizm to bezwzględna walka ekonomiczna, w której wszystkie firmy kombinują jak się pozbyć pojedynczych konkurentów, możliwie na zawsze. Albo przynajmniej zmusić ich, żeby wzięli na siebie mniej intratne podwykonawstwo. Ta sama reguła dominacji dotyczy całych gospodarek, tyle, że wymaga jednoczesnego działania bardzo wielu firm.

Po drugie - Polakom odebrano nie tylko majątek i zyski, ale, co jest kolejnym pilnie ukrywanym faktem - drastycznie zredukowane są funkcje „państwa opiekuńczego”, jak np. bezpłatne szkolnictwo, subsydiowana kultura, czy powszechna opieka zdrowotna. Polska zbudowała, więc nie tylko „niekompletny kapitalizm”, którego nie ma w Europie Zachodniej, ale równie jej nieznaną model gospodarki, gdzie działa „niekompletne państwo”; bez normalnych funkcji społecznych.

O wadze świadczonych przez państwo usług najlepiej można się przekonać, jak się spojrzy na to, gdzie płynie strumień inwestycji zagranicznych. Nie płynie on bynajmniej do gospodarek, w których ze względu na szczupłość podatków nie stać państwa na usługi społeczne. Zupełnie odwrotnie, kieruje się on głównie do krajów gdzie te usługi są rozbudowane, w tym do Europy Zachodniej. Jak już zabraknie majątku państwa na sprzedaż, Polska szybko się przekona o tej prawdziwości.

Wycofywanie się państwa w Polsce z różnych opiekuńczych powinności nie idzie przy tym w parze z

oddawaniem obywatelom funduszy dotąd wydatkowanych na te usługi. Upadek „opiekuńczego państwa” wynika głównie stąd, że wysychają źródła podatkowe ze strony sektora produkcji. Jak też, ze względu na nasilającą się rozrost aparatu administrującego usługami, wykorzystującego swoją pozycję na rzecz windowania własnych pensji oraz pozyskiwania tzw. prowizji.

Problemy budżetowe nie są przy tym bez związku z faktem, że polskie państwo bardzo hojnie zwalnia obce firmy z podatków. Co więcej, mimo dwukrotnie wyższej wydajności, sektor zagraniczny od 1996 r. wykazuje straty, gdy resztki sektora państwowego robią zyski. Z tego powodu sektor zagraniczny w ogóle nie płaci podatków od zysku do budżetu. Zmienia to Polskę w dziwny kraj, w którym właściciele kapitału nie płacą podatków, ale płaci go siła robocza - oraz emeryci.

Zdaniem tzw. liberałów, najlepiej byłoby zlikwidować podatek od zysku, który rzekomo zniechęca do inwestycji w środki trwałe, a tym samym pomniejsza liczbę nowych miejsc pracy. Rozumując w ten sposób, trzeba powiedzieć, że nie powinno się też ściągać podatków od płacy, gdyż zniechęcają one robotników do podejmowania pracy. Idąc dalej tym torem myślenia, powinno się też wyeliminować obecne podatki od świadczeń emerytalnych, bo to przecież zniechęca do życia.

Tzw. liberałowie nie rozumieją, że celem podatków od zysku jest ściągnięcie należności za korzyści jakie osiągają właściciele kapitału z tytułu usług państwa, jak np. dostęp do wyedukowanej siły roboczej. To prawda, że niektóre z tych usług mogliby oni sami finansować, włącznie ze wspieraniem systemu edukacyjnego. Jak dotąd jednak, nikt nie słyszał o tym, żeby obce firmy w Polsce łożyły na szkoły czy uczelnie, choć nie jest im obca taka działalność, ale u siebie w kraju, nie u obcych.

Po trzecie - odzierane z usług socjalnych, polskie społeczeństwo zostaje z gospodarką wyjątkowo podatną na kryzysy produkcji, czyli kryzysogenną. Trudno sobie bowiem wyobrazić, żeby w wyniku niespotykanego pogwałcenia liberalnej ekonomii oraz liberalnej polityki mogła powstać gospodarka odporna na recesję. A więc taka, którą z pełnym rozmysłem skonstruowały po ostatniej wojnie wszystkie kraje Europy Zachodniej wprowadzając państwo do rynkowej gospodarki.

Można było się o tym fakcie przekonać już w latach 1990-1992, kiedy gospodarka wkroczyła w pierwszy ostry „kryzys Balcerowicza”. Prawie nikt z polskich ekonomistów nie potraktował tego załamania jako poważnego ostrzeżenia. Kryzys miał bowiem być społeczną zapłatą za wyrwanie się z komunizmu. Dzisiaj, gdy Polska wchodzi w drugi „kryzys Balcerowicza”, te same kręgi twierdzą, że społeczeństwo dalej czepia się komunizmu, a nowa recesja jest kolejną zasłużoną nauczką.

U podstaw obydwu kryzysów nie leżą wygórowane apetyty lokalnej siły roboczej, gdyż w obydwu przypadkach płace rosły wolniej od wydajności a wydatki społeczne państwa spadały. Kryzysy Balcerowicza nie są oczywiście karą za komunizm, ale konsekwencją podporządkowania gospodarki zagranicznym interesom. Najpierw jeszcze bez silnej obecności kapitałowej, czy właścicielskiej zagranicy, a obecnie dlatego, że większość banków i fabryk jest już zagraniczna.

Dominujący w produkcji sektor zagraniczny importuje bowiem znacznie więcej niż eksportuje, rośnie więc szybko dług zagraniczny a wraz z nim groźba niewypłacalności. W każdej chwili może pojawić się panika finansowa oraz ucieczka tzw. spekulacyjnego pieniądza. I załamanie waluty, z którym kryzys w produkcji staje się nieunikniony. Wszystko to spadnie na barki państwa, ale ono jest zbyt słabe w stosunku do sektora zagranicznego, żeby wymusić na nim adaptację.

Widać to w ostatnich dwu latach, gdy z braku innych możliwości bezradne państwo przyjęło taktykę odsuwania kryzysu przy pomocy kryzysu. Jedynym praktycznym sposobem na obniżenie deficytów handlowych okazało się bowiem spowolnienie wzrostu gospodarki przez obcinanie inwestycji oraz konsumpcji. Trudności zbytu w kraju spowodowały pewien spadek importu i ruszył trochę eksport, obniżył się więc deficyt handlowy, ale zbyt mało by zahamować nasilenie kryzysu.

Główne ośrodki władzy pogodziły się z myślą, że gdy zaczynają się problemy z deficytem wymiany handlowej oraz zadłużeniem, ciężar przystosowania trzeba zwalić na siłę roboczą. Walka z kryzysem odbywa się przy pomocy bezrobocia, tak, że Polska staje się krajem obcego kapitału i lokalnego bezrobocia. Powstaje błędne koło, w którym obcy kapitał wyrzuca na bruk lokalną pracę, oraz, unikając obciążeń podatkowych, odbiera państwu środki na przeciwdziałanie bezrobociu.

Żeby się przekonać dokąd dokładnie *zmierza* Polska ze swym „niekompletnym kapitalizmem” wystarczy się rozejrzeć po tych krajach rozwijających się, które przez kilka ostatnich lat były chwalone za swe sukcesy, a dzisiaj gnębnią je kryzysy. Wystarczy wziąć Argentynę, do niedawna uważaną za wzór dyscypliny finansowej oraz liberalizacji gospodarki. W środku głębokiego kryzysu, Argentyna zbiera teraz słowa nagany za niedostatek

finansowej dyscypliny oraz liberalizacji.

Tak jak w obecnej Polsce, pierwszym sygnałem gospodarczego zagrożenia w Argentynie okazało się galopujące zadłużenie zagraniczne oraz deficyty budżetowe. Doszło do tej nierównowagi, mimo że Argentyna od lat stosuje bardziej rygorystyczny niż Polska mechanizm finansowy, w którym obieg pieniądza zależy od podaży dolarów. Nie pomógł też fakt, że Argentyna zdołała przekazać swoje główne banki, oraz monopole (np. telekomunikację, energetykę) w ręce zagraniczne.

Wspomniany mechanizm uzależnienia podaży pieniądza wymusił w 1998 r. spadek produkcji oraz płac, przypominający efekty tzw. schładzania przez Balcerowicza w Polsce. Przez trzy lata płace spadły o jedną piątą, albo o połowę w relacji do wydajności. Tym niemniej, w 2001 r. doszło do ucieczki kapitału i załamania waluty. Argentyna uzyskała prawie kilkanaście miliardów dolarów pomocy, ale najpierw musiała zgodzić się na obniżenie płac o następne piętnaście procent.

Inną lekcją służy Turcja, również do niedawna chwalona jako wzór kraju rozwijającego się, kto wie czy nawet nie przykład cudu gospodarczego. W 2001 r., Turcja też wpadła jednak w potężny kryzys finansowy, z grubsza przypominający scenariusz, który przechodzi gospodarka Argentyny. Kryzys ten tylko w tym roku spowodował dramatyczną dewaluację pieniądza oraz utratę około dwudziestu procent dochodu narodowego, i nie widać dlań szybkiego zakończenia.

Tak jak w Argentynie, upadek gospodarki został zapoczątkowany przez ucieczkę kapitału, głównie spekulacyjnego, ulokowanego na giełdzie i w państwowych papierach. Panikę wywołała jednak nie tylko eskalacja zagranicznych długów czy ostre problemy budżetowe, ale także fatalna sytuacja w bankach, głównie państwowych. Udzieliły one, w sposób korupcyjny, ogromnych tzw. nieściągalnych kredytów, zmuszając państwo do miliardowego oddłużania na barkach podatnika.

Mogłoby się wydawać, że skoro banki polskie są głównie zagraniczne, nie są one podatne na tureckie kłopoty, ale jak dochodzi do kryzysu finansowego, banki prywatne też wpadają w tarapaty. Można sobie łatwo wyobrazić sytuację, w której, z powodu bankructw w przemyśle zagraniczne banki w Polsce wpadają w pochodny własny kryzys. Państwo stanęłoby wtedy przed koniecznością ratowania zagranicznych banków, naturalnie też kosztem krajowego podatnika.

Wyjście awaryjne

Możnaby pomyśleć, że dziesięć lat psucia systemu gospodarki przez tzw. liberałów to względnie krótki okres, więc nie powinno być trudności z naprawieniem szkód. Niestety, w jakimś sensie Polska znalazła się na dnie swej nowoczesnej historii, gdyż chyba nigdy odruchy moralne nie uległy takiej dramatycznej erozji. Odbicie się od tego dna będzie trudne, gdyż wszystkie możliwe główne wyjścia zostały już zatrzęsnięte, pozostały jedynie bardzo ryzykowne wyjścia awaryjne.

Po pierwsze, wypadałoby zaprzestać odnowionej po upadku komunizmu „negatywnej selekcji”, współodpowiedzialnej za obecne załamanie postaw moralnych. Chodzi o rozmontowanie złożonych mechanizmów doboru, których główne niszczące działanie polega dzisiaj na tym, że wynoszą na wpływowe stanowiska ludzi nastawionych na własne interesy. Natomiast odsuwają od procesu decyzji ludzi, którzy nie zatracili jeszcze poczucia odpowiedzialności za sprawę publiczną.

Negatywna selekcja nie wynika z tego, że — jak twierdzą tzw. liberałowie - pozostałości starszego pokolenia zablokowały dostęp młodszemu pokoleniu. Odwrotnie, wypłynęły teraz na powierzchnię piramidy władzy głównie zastępy młodszych roczników, które wkroczyły w zmiany ustrojowe niekiedy zagubione, a często obojętne na interes publiczny. Wyparli oni starszą generację, ściślej *związaną* z powojenną odbudową, w której zachowały się silne odruchy społeczne.

W ostatnich latach niestety polskimi rękami dokonano w Polsce takiego samego zabiegu, jaki w Niemczech Wschodnich wykonali po upadku komunizmu Niemcy Zachodni, czyli rozpędzenie całej elity około stu tysięcy wykształconych ludzi w starszym wieku. Nie uczynili tego Niemcy Zachodni u siebie nawet po upadku hitleryzmu, czy Austriacy, gdzie, mimo silnych nastrojów nazistowskich, nie doszło do porachunków, głównie za sprawą Kościoła, przypomnę - katolickiego.

Ludzie z moralnym autorytetem nie uzyskują wpływu na bieg polskiej gospodarki, dopóki nie dojdzie do zmian w mediach, które są strażnikiem „negatywnej selekcji”. Stąd płyną brutalne ataki tzw. liberałów na każdego, kto ośmieli się wyrazić troskę o interes publiczny. Media w Polsce to prawie monopol, głównie zresztą z udziałem *zagranicznych* koncernów, którym nie zagrażają teraz, tak skuteczne pod koniec komunizmu, tajne powielacze czy zagłuszane radiostacje.

Dochodzi do paradoksalnej sytuacji, w której najważniejsze partie polityczne, nawet z poparciem połowy potencjalnych wyborców, czują się zastraszone przez tzw. liberalnych komentatorów. Żeby uniknąć samosądu mediów, przywództwa tych partii często zmuszane są do mówienia ich głosem. Z tych samych powodów boją się wdać w pewne tematy, gdyż środki przekazu nie chcą, żeby były one otwarcie poruszane - takie na przykład jak kwestia pól darmowej wyprzedaży.

Pozytywna selekcja nie jest więc możliwa bez demonopolizacji mediów wzorem Unii Europejskiej, gdzie tytułom prasowym czy stacjom nadawczym wolno działać tylko na wyznaczonym terenie mając określony niewielki udział w dochodach reklamowych. Odpowiednio, zagraniczne koncerny mogłyby posiadać tylko niskie udziały w prasie, a zwłaszcza w telewizji. Nadwyżkowe udziały uległyby obligatoryjnemu odsprzedaniu krajowym inwestorom, najlepiej np. głównym partiom.

Po drugie - wyłącznym celem dalszej prywatyzacji musi się wreszcie stać tworzenie rodzimej klasy kapitalistycznej, tak by krajowa własność stała się dominująca, zwłaszcza w bankach. Dlatego należałoby od zaraz zatrzymać jakąkolwiek sprzedaż majątku w ręce zagraniczne, nie licząc zakupów w ramach niskich pułapów dla ogółu obcych akcji. W tym samym czasie powinno się wreszcie uruchomić ułatwienia finansowe, w tym ulgowe linie kredytowe, dla nabywców krajowych.

Wybór między krajowym z zagranicznym nabywcą należy wyłącznie do polskiego rządu, w każdym razie nie ma w tej sprawie żadnych wiążących ustaleń z Unią. Powoływanie się przez tzw. liberałów na jakieś decyzje w tej sprawie jest kłamstwem, o czym można się było przekonać, gdy zapadła sejmowa uchwała, że ostatnie dwa polskie banki mają być sprzedane krajowym inwestorom. Nawet jednym słowem unijni biurokraci nie skomentowali tej suwerennej polskiej decyzji.

Dla zwiększenia stanu posiadania własnej klasy kapitalistycznej, niezbędna jest też dokładna weryfikacja ważniejszych umów prywatyzacyjnych z punktu widzenia ich zgodności z prawem.

W przypadku stwierdzenia sztucznie zaniżonych cen powinno się zadbać o uzyskanie finansowych rekompensat. W skrajnych przypadkach, należałoby zakwestionować całe umowy prywatyzacyjne oraz przekazać majątek do puli zarezerwowanej wyłącznie dla krajowych inwestorów.

Można oczekiwać, że zagraniczni właściciele zechcą odwołać się do unijnych władz w przypadku rewizji umów kupna majątku. Jest jednak mało prawdopodobne, żeby unijne władze zdołały dowieść poprawności wycen, na pewno nie na bazie porównań z cenami, jakie uzyskano ze sprzedaży podobnych fabryk czy banków na terenach unijnych. Równie nieprawdopodobne jest by stanęły one w obronie transakcji, które są ewidentnie oparte na manipulacjach cenowych.

Nie wystarczy zadbać o to, żeby jak najwięcej majątku trafiło do krajowych kapitalistów, gdyż żadne środki, poza wtórną nacjonalizacją, nie są w stanie doprowadzić do szybkiego przywrócenia kontroli nad bankami i przemysłem. Trzeba się więc pogodzić na pewien przynajmniej czas z tym faktem, ale jednocześnie podjąć wszystkie legalne kroki, żeby zapewnić, że sektor zagraniczny będzie działał w sposób mniej szkodliwy dla polskiej gospodarki niż to dzieje się obecnie.

Sektor zagraniczny działa jak tzw. „szara strefa”, na wzór tej z komunizmu, tyle, że na nieporównywalnie większą skalę no i prawie bez nadzoru. Można nad nią zapanować tylko przy pomocy bezpośrednich ingerencji państwa, jak na przykład szacunkowej wyceny należności podatkowych czy obligatoryjnych taryf płacowych. Trzeba się liczyć, że takie kroki mogą wywołać nieprzychylną reakcję ze strony Unii, tyle, że na jej terenie szara strefa działa na nieporównywalnie mniejszą skalę.

Po trzecie - odbudowa krajowej własności wymaga nowego podejścia do integracji z Unią Europejską, tak by państwo polskie uzyskało niezbędną swobodę działania. Sam w sobie akt przystąpienia nie rozwiąże niezwykle złożonych problemów gospodarczych Polski. Mogą one być łatwiej rozwiązane jeśli polska strona, w twardych negocjacjach, uzyska odpowiednie warunki. Z pewnością nic dobrego nie da dalsza taktyka oddawania prawie wszystkiego bez żadnej walki.

Największym chyba oskarżeniem dotychczasowej taktyki, a *zarazem* dowodem rozkładu państwa, jest fakt, że najbardziej dzisiaj zagrożone sektory - rolnictwo, metalurgia i górnictwo - zostały w 1990 r. zidentyfikowane przez ekonomistów Unii jako największe konkurencyjne zagrożenie dla jej własnych producentów. Zamiast wzorem unijnych rządów wesprzeć te ważne dziedziny państwo pozwala na ich uwiąd zgodnie z unijnymi programami tzw. restrukturalizacji.

Gdzie się nie obejrzeć widać podobnie szkodliwą niemożność, tak, że jedynym rozsądnym wyjściem staje się chwilowe zamrożenie dalszych negocjacji. W każdym razie nie ma większego sensu, żeby strona polska brała się

do realizacji jakichkolwiek nowych postanowień dopóki nie uzyska pełnoprawnego członkostwa. Wystarczy jeśli będą trwałe przygotowania jednolitych dokumentów prawnych na wypadek gdyby ostatecznie zapadła korzystna dla Polski decyzja w sprawie przyjęcia.

Nastroje w sprawie przyjęcia Polski uległy w Unii ochłodzeniu z powodu obaw, które będzie Polsce trudno szybko rozwiązać. Nie chodzi bowiem o fakt, że jej gospodarka jest mało rynkowa, bo nie jest, ale, że ma zbyt mało państwa, co jest prawdą. Na niewiele więc przyda się hurtowe tłumaczenie ustaw oraz branie kolejnych zobowiązań, gdyż nie naprawią państwa. Mogą się tylko źle odbić na państwie, zwłaszcza, że te zobowiązania zapadają często zgodnie z logiką korupcji, a nie ekonomii.

Przez odłożenie członkostwa nie tylko, że odciążą się z dodatkowej pracy bardzo słabowite państwo, ale zyska ono możliwość przenegocjowania lub anulowania ustaleń, które obecnie niszczą jej gospodarkę. Z pewnością państwo powinno odzyskać prawo ustalania ochronnych ceł oraz ilościowych ograniczeń np. w postaci udziałów importu w łącznej sprzedaży pewnych produktów. Musi mieć również prawo subsydiowania polskich produktów na własnych warunkach.

Nie jest dopuszczalne, żeby zacofana polska gospodarka nie mogła liczyć ani na swoje państwo, ani na władze unijne, gdyż kraje człokowskie coraz ostrzej stawiają warunek, żeby z chwilą akcesji Polska zrezygnowała z unijnej pomocy, między innymi rolnej. Z krajów-kandydatów Czechy oraz Estonia, gdzie rolnictwo jest relatywnie małe, poszły na takie ustępstwa. Stan gospodarki Polski przemawia jednak przeciwko podobnym ustępstwom wobec Unii.

Szukając dróg wyjścia, Polska mogłaby się sporo nauczyć od różnych krajów członkowskich Unii, w tym między innymi od Austrii, zwłaszcza jeśli chodzi o stosunki z Unią. Nie jest bowiem tak, że wszyscy jej członkowie za każdą cenę gotowi są pielęgnować więzi z Unią. Austria dowodzi, że interesy władz kraju nie zawsze są zgodne z interesem unijnych władz, oraz że gdy dochodzi między nimi do ostrej kolizji, interes narodowy bierze górę nad interesem ponadnarodowym.

Głównym powodem niezadowolenia Austriaków jest fakt, że władze Unii zbyt ingerują w sprawy ich kraju, tak jakby był krajem drugiej klasy. Dowodem tego stał się dla nich chociażby fakt, że Austria została poddana przez Unię niesłychanym atakom potępienia oraz sankcjom, gdy niedawno demokratycznie wybrała „zły” rząd, wyrażający obawy przed dyktowanym przez władze unijne otwarciem granic dla emigrantów, jako zagrożeniem dla tożsamości Austriaków.

Dążenie do zachowania niezależności wykracza zresztą poza przynależność do Unii, dotyczy też ewentualnego członkostwa Austrii w Pakcie Atlantyckim. Od dawna nieprzychylnie stanowisko Austriaków wobec ich udziału w tym wojskowym sojuszu uległo pogłębieniu. Oburzenie wywołał niedawny atak bloku, z powietrza, na równie małą Serbię. Trzy czwarte Austriaków uznało, że ich kraj nie ma nic do robienia w tym bloku militarnym, że lepiej jak pozostaną neutralni.

Innym przejawem tego, że kraje członkowskie dbają o swoją niezależność w ramach Unii jest postępowanie Danii. Właśnie niedawno, w obawie przed nadmierną ingerencją, wyborcy zdecydowali, że Dania bezterminowo odłoży decyzje w sprawie oczekiwanego przez władze Unii przyjęcia wspólnego pieniądza oraz centralnego banku. Duńscy przeciwnicy tej fazy integracji, zwłaszcza farmerzy, wygrali referendum, mimo niedostatku funduszy i bez wsparcia ze strony rządu.

Podobnie jak Austria, przywiązana do tradycyjnego, rodzinnego rolnictwa Dania, ze zgrozą spogląda, jak biurokracja Unii forsuje przepisy w sprawie swobodnego dostępu cudzoziemców do ziemi. Na oczach Danii rozgrywa się też kolejna unijna plaga, której wynikiem jest masowa rzeź zakazanych zwierząt, w tym w Niemczech. Gdyby nie stały upór Danii wobec narzucanego przez Unię „naukowego” modelu rolnictwa, jej konkurencyjne rolnictwo też dopadałoby te ciężkie plagi.

Danii, ale też Austrii, chodzi jednak nie tyle o stosunki z całą Unią, co raczej z jej główną potęgą - sąsiednimi Niemcami. Obawiają się ich dominacji, tak jak Portugalczycy, którzy opierają się różnym unijnym presjom z obawy przed ekspansywną Hiszpanią. Czy jak Finowie, ostrożni z panującą przez wieki Szwecją. Nie mylą się, gdyż historia ma to do siebie, że dominacja łatwo wraca. Widać pewne ludzkie pasje są wieczne, a siły zła mogą być przynajmniej tak przemożne jak siły dobra.

ZAŁĄCZNIKI

Załącznik I

Udział obcego kapitału w przemyśle oraz bankach, 2000 (w procentach)

| Kraj | Przemysł | Banki | Sektor publiczny bankowy |
|-------------------------|----------|-------|--------------------------|
| Europa Wschodnia | | | |
| Polska | 35-40 | 75 | 20 |
| Chorwacja | - | 85 | 10 |
| Czechy | 35 | 65 | 30 |
| Estonia | 60 | 80 | 15 |
| Węgry | 75 | 70 | 10 |
| Słowacja | 25 | 40 | 40 |
| Słowenia | 15 | 10 | 60 |
| Ameryka Łacińska | | | |
| Argentyna | - | 40 | 20 |
| Brazylia | - | 15 | 38 |
| Chile | - | 35 | - |
| Wenezuela | - | 55 | 5 |
| Europa Zachodnia | | | |
| Austria | 30 | 4 | 35 |
| Dania | 15 | 7 | - |
| Francja | 25 | 12 | - |
| Hiszpania | 25 | 13 | 20 |
| Irlandia | 50 | 55 | - |
| Niemcy | 13 | 6 | 40 |
| Norwegia | 11 | 7 | 55 |
| Portugalia | 23 | 15 | 30 |
| Ameryka Północna | | | |
| Kanada | 50 | 7 | - |
| Meksyk | - | 18 | 30 |
| Stany Zjednoczone | 18 | 11 | - |
| Azja Południowa | | | |
| Japonia | 3 | 2 | 15 |
| Malezja | - | 17 | 42 |
| Korea Południowa | - | 5 | 16 |
| Taiwan | - | 4 | 57 |

Źródło: Poznański (2001) 142

Załącznik 2

Szacunek strat i obciążeń związanych z prywatyzacją (w miliardach dolarów)

| Kategoria | Węgry | Kraj Polska |
|---|---------------|----------------|
| A. Informacje wyjściowe | | |
| 1. Dochód narodowy - globalny | 50 | 160 |
| 2. Globalne roczne oszczędności | 10 | 32 |
| 3. Wpływy z prywatyzacji (Całość kapitału - banki/przemysł) | 10-12 | 18-23 |
| B. Wycena kapitału. | | |
| 1. Współczynnik kapitałochłonności (ułamek) | 3/1-4/1 25 | 3/1-4/1 80 |
| 2. Dochód narodowy - banki/przemysł | 75-100 | 240-360 |
| 3. Realna wartość kapitału - banki/przemysł | | |
| C. Głębokość dyskonta | | |
| 1. Realna wartość kapitału | 75-100 | 240-360 |
| 2. Wpływy z prywatyzacji | 10-12 | 18-23 |
| 3. Relacja wpływów do wyceny | 16-19% | 7-9% |
| D. Zapotrzebowanie na oszczędności | | |
| 1. Realna wartość kapitału | 75-100 | 240-360 |
| 2. Roczne oszczędności (50% albo 100%) | 5-10 | 16-32 |
| 3. Wymagany okres oszczędzania (lata) | 7-20 | 15-22 |
| E. Straty spowodowane dyskontem | | |
| 1. Procent straty (wartość/wycena) | 81-84% | 91-93% |
| 2. Strata w kapitale - banki/przemysł | 60-84 | 218-312 |
| 3. Roczna strata dochodu narodowego | | |
| 3.1 Współczynnik kapitałochłonności = 3/1 | 20-28 | 72-104 |
| 3.2 Współczynnik kapitałochłonności = 4/1 | 15-21 | 54-78 |

Źródło: obliczenia własne

Załącznik 3

Porównanie dwóch dekad: Gierka oraz Balcerowicza

| Wskaźniki | Dekada Gierka (1970- | Balcerowicz a (1990- |
|---|----------------------------|----------------------------|
| 1. Wskaźniki makroekonomiczne | | |
| 1.1 Wzrost dochodu narodowego (indeks) (1970=100,1979; 1989=100, 1999) | 170 | 120 |
| 1.2 Udział inwestycji w dochodzie (%) | 28-30 | 20 |
| 1.3 Wzrost majątku trwałego (indeks) (1970=100, 1979;1989=100, 1999) | 165 | 123 |
| 1.4 Dług zagraniczny brutto (mld US dollars) | 24 | 58 |
| 1.5 Deficyt jako procent eksportu (w %) (1971-1978, 1991-1998) | 47 | 36 |
| 1.6 Liczba nowych miejsc pracy (mln) | 2,1 | -2,1 |
| 1.7 Ogólna liczba ludzi bez pracy (mln) w tym „ukryte” bezrobocie (mln) | 0.5 0.5 | 4.4 2.1 |
| 2. Wskaźniki mikroekonomiczne | | |
| 2.1 Budownictwo mieszkaniowe (liczba mieszkań na tys osób) | 23,3 | 8.5 |
| 2.2 Spożycie mięsa i przetworów (kg na osobę) | 69 | 57 |
| 2.3 Spożycie mleka (kg na osobę) | 262 | 194 |
| 2.4 Spożycie masła (kg na osobę) | 8,9 | 4/.3 |
| 2.5 Zakup książek (na tys. osób) | 4136 | 2425 |
| 2.6 Przejazdy kolejowe | 1302 | 667 |
| 2.7 Przyrost liczby samochody w użyciu (na tys. osób) (1970-1980, 1990-1999) | 52 | 65 |

Źródło: Rocznik Statystyczny GUS, Warszawa, 1999

Załącznik 4

Kryzys gospodarczy w Europie Wschodniej, 1989-1999 Indeksy, 1989=100

| Kraj 1980 | 1989 | Najniższy punkt | 1999 | |
|--|-------|--------------------|-------------|-------|
| a/ dochód narodowy w wielkościach realnych | | | | |
| Bułgaria | 76.2 | 100.0 | 66.6 (1997) | 70.7 |
| Czechy | 93.2 | 100.0 | 86.9 (1993) | 95.3 |
| Węgry | 86.3 | 100.0 | 81.9 (1993) | 99.4 |
| Niemcy Wsch. | | 100.0 | 68.3 (1991) | 98.5 |
| Polska | 91.1 | 100.0 | 82.2 (1991) | 121.8 |
| Rumunia | 88.5 | 100.0 | 75.0 (1992) | 75.8 |
| Słowacja | 94.8 | 100.0 | 75.1 (1993) | 101.7 |
| Słowenia | 98.9 | 100.0 | 79.1 (1992) | 105.3 |
| Białoruś | 65.7 | 100.0 | 63.4 (1995) | 81.4 |
| Estonia | 74.5 | 100.0 | 63.7 (1994) | 78.3 |
| Litwa | 68.5 | 100.0 | 51.0 (1995) | 59.6 |
| Rosja | 78.1 | 100.0 | 58.2 (1996) | 57.6 |
| Ukraina | 75.0 | 100.0 | 39.3 (1999) | 39.3 |
| b/ produkcja przemysłowa w wielkościach realnych | | | | |
| Bułgaria | 71.3 | 100.0 | 40.8 (1999) | 40.8 |
| Czechy | 81.5 | 100.0 | 66.1 (1993) | 76.9 |
| Węgry | 92.9 | 100.0 | 66.9 (1992) | 113.9 |
| Niemcy Wsch. | 75.2 | 100.0 | 37.0 (1991) | 55.3 |
| Polska | 86.3 | 100.0 | 69.7 (1991) | 122.4 |
| Rumunia | 76.9 | 100.0 | 42.7 (1999) | 42.7 |
| Słowacja | 76.7 | 100.0 | 63.6 (1993) | 76.4 |
| Słowenia | 90.3 | 100.0 | 66.1 (1993) | 75.6 |
| Białoruś | 61.1 | 100.0 | 60.3 (1995) | 91.6 |
| Estonia | 78.5 | 100.0 | 47.1(1994) | 55.7 |
| Litwa | 72.5 | 100.0 | 38.7 (1995) | 43.6 |
| Rosja | 74.4 | 100.0 | 46.0 (1998) | 49.7 |
| Ukraina | 72.6 | 100.0 | 49.6 (1997) | 51.3 |
| c/ wskaźnik ogólnego poziomu zatrudnienia | | | | |
| Bułgaria | 100.0 | 100.0 | 72.2 (1998) | - |
| Czechy | 95.3 | 100.0 | 89.7 (1993) | 90.2 |
| Węgry | 104.2 | 100.0 | 69.8 (1997) | 72.9 |
| Polska | 102.0 | 100.0 | 84.3 (1993) | 92.9 |
| Rumunia | 94.6 | 100.0 | 80.5 (1999) | 80.5 |
| Słowacja | 90.8 | 100.0 | 81.8 (1999) | 81.8 |
| Słowenia | 84.0 | 100.0 | 78.6 (1996) | 80.2 |
| Białoruś | 95.4 | 100.0 | 84.0 (1996) | 86.0 |
| Estonia | 97.9 | 100.0 | 76.4 (1999) | 76.4 |
| Litwa | 97.0 | 100.0 | 72.3 (1996) | 74.1 |
| Rosja | 96.9 | 100.0 | 84.2 (1998) | 85.0 |
| Ukrainę | 99.6 | 100.0 | 86.5 (1999) | 86.5 |

Źródło: Economic Survey of Europe, Nr. 1, Genewa: United Nations, 2000

LITERATURA

- Balcerowicz Leszek, Wolność i rozwój. Ekonomia Wolnego Rynku, Kraków: Znak, 1995
- Balcerowicz Leszek, Socjalizm, Kapitalizm, Transformacja, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 1997
- Balcerowicz Leszek, Obrona kosztownej utopii, „Gazeta Wyborcza”, luty 2000
- Berend Ivan, The Historical Evolution of Eastern Europe as a Region, „International Organization”, rocznik 40, numer 2, 1986
- Berend Ivan i Ranki Gyorgy, East Central Europe in the 19th and 20th Centuries, Budapeszt: Akademiai Kiado, 1977
- Bugaj Ryszard, Postkomunizm z Ameryki, „Gazeta Wyborcza”, czerwiec 2000
- Glikman Paweł, A jednak się opłaca, „Rzeczpospolita”, marzec 2001
- Hayek Friedrich, The Road to Serfdom, Chicago: University of Chicago Press, 1944
- Hayek Friedrich, The Fatal Conceit. The Errors of Socialism, Chicago: University of Chicago Press, 1988
- Hirschman Albert, National Power and the Structure of Foreign Trade, Berkeley: University of California Press, 1945
- Hofheinz Paul, Yes, You Can Win in Eastern Europe, „Fortune”, maj, 1994
- Janos Andrew, From Soviet Empire to Western Hegemony, „Eastern European Politics and Society”, rocznik 15, numer 2, 2001
- Jowitt Kenneth, The New World Disorder: The Leninist Extinction, Berkeley: California University Press, 1992
- Jurgs Michael, Die Treuhändler. Wie Helden und Halunken die DDR verkaufen, Munich: List, 1997
- Kołodkowski Leszek, Mind and Body: Ideology and Economy in the Collapse of Communism, Poznański Kazimierz Z., praca zbiorowa, „Constructing Capitalism”, Boulder: Westview Press, 1992
- Kołodko Grzegorz, Od szoku do terapii. Ekonomia polityczna transformacji, Warszawa: Poltext, 1999
- Kornai Janos, The Road to Free Economy: Shifting from a Socialist System, New York: Norton & Norton, 1991
- Kornai Janos, Post-socialist Transition: An Overall Survey, „European Review”, rocznik 1, numer 1, 1993
- Landau Zbigniew i Tomaszewski Jerzy, Gospodarka Polski międzywojennej, 1918-1938, Warszawa: Książka i Wiedza, 1967
- Lewandowski Janusz, wypowiedź na marginesie „Jeżeli jest tak źle, to dlaczego jest tak dobrze”, wywiad „Gazety Wyborczej” z Kazimierzem Z. Poznańskim, 2000 (niedrukowany)
- Łąkowski Bugusław, Liberalna kontrewolucja, Warszawa: Centrum im. Adama Smitha, 1994
- Marrese Michael and Jan Vanous, Soviet Subsidization of Trade with Eastern Europe, Berkeley: Institute of International Studies, 1983
- Mises Ludwig, Socialism. An Economic and Sociological Analysis, New Haven: Yale University Press, 1951
- Moisi Dominique, Personal View: Plus ça change..., „Financial Times”, luty 22, 1999
- Murrell Peter, Evolutionary and Radical Approaches to Economic Reform, „Economics of Planning”, rocznik 25, numer 1, 1992
- Nieckarz Stanisław, Polskie banki czy banki w Polsce, „Prawo i Gospodarka”, luty 20, 2000
- Offe Claus, Varieties of Transition. The East European and East German Experience, Cambridge: The MIT Press, 1997
- Podkaminer Leon, Sustainability of Poland's „Import-Led” Growth, The Vienna Institute Monthly Report, numer. 4, 2000
- Popper Karl, 1962, The Open Society and Its Enemies, Princeton: Princeton University Press (first edition, 1943)
- Poznański Kazimierz Z., Technology, Competition and the Soviet Bloc in the World Market, University of California - Berkeley, Institute of International Studies, 1987
- Poznański Kazimierz Z., Opportunity Cost in Soviet Trade with Eastern Europe: Discussion of Methodology and New Evidence, „Soviet Studies”, rocznik XL, numer 2, 1988
- Poznański Kazimierz Z., An Interpretation of Communist Decay: The Role of Evolutionary Mechanisms, „Communist and Post-Communist Studies”, rocznik 26, numer 1, 1993
- Poznański Kazimierz Z., Poland's Protracted Transition: Institutional Change and Economic Growth 1970-1994, Cambridge Mass.: Cambridge University Press, 1996
- Poznański Kazimierz Z., Transformat/on as Privatization and Privatization as Expropriation: Patterns of Systemic Change in Eastern Europe, Seattle: University of Washington (niepublikowany rękopis), 1999
- Poznański Kazimierz Z., The Morals of Transition: Decline of Public Interest and Runaway Reforms in Eastern

Europe, [w:] Antohi Sorin i Vladimir Tismaneanu, praca zbiorowa, *Between Past and Future. The Revolutions of 1989 and their Aftermath*, Budapest: Central European University Press, 2000

Poznański Kazimierz Z., *Ownership Structure and External Sector in Poland*, New York: United Nations, Maj, 2001 (niepublikowany materiał)

Rosati Dariusz, *Polska droga do rynku*, PWE, Warszawa, 1998

Rutkowski Józef, *Wielki szwindel*, „Trybuna”, maj 2001

Sachs Jeffrey, *Poland's Jump to the Market Economy*, Cambridge, Mass.: The MIT Press, 1993

Schumpeter Joseph, *Capitalism, Socialism and Democracy*, New York: Harper and Row, 1942

Sinn Gerlinde i Hans-Werner Sinn, *Jumpstart. The Economic Unification of Germany*, Cambridge: The MIT Press, 1992

Soros George, *The Crisis of Global Capitalism: Open Society Endangered*, New York: Public Affairs, 1999

Staniszki Jadwiga, *Political Capitalism in Poland*, „East European Politics and Societies”, rocznik 4, numer 2, 1992

SPIS TREŚCI

| | |
|--|-----------|
| Nota wydawnicza | 2 |
| Wprowadzenie | 4 |
| CZĘŚĆ PIERWSZA | |
| WYMYŚLONY POSTĘP | 7 |
| ROZDZIAŁ PIERWSZY | |
| Wywłaszczenie narodowe | 8 |
| Niespełnione zamierzenia | 8 |
| Tło regionalne | 9 |
| Reszta świata | 10 |
| Podsumowanie | 11 |
| ROZDZIAŁ DRUGI | |
| Sprzeniewierzony majątek | 12 |
| Szok cenowy | 12 |
| Wieczny wyciek | 13 |
| Jałowa machinacja | 14 |
| Podsumowanie | 15 |
| ROZDZIAŁ TRZECI | |
| „Niekompletny kapitalizm" | 16 |
| Patologia społeczna | 16 |
| Dalszy regres | 17 |
| Nietrwałość struktur | 18 |
| Podsumowanie | 19 |
| CZĘŚĆ DRUGA | |
| ZMARNOWANE PAŃSTWO | 20 |
| ROZDZIAŁ CZWARTY | |
| Wymuszona recesja | 21 |
| Radość niszczenia | 21 |
| Kuracja głodowa | 22 |
| Nieuczciwa walka | 23 |
| Podsumowanie | 24 |
| ROZDZIAŁ PIĄTY | |
| Labirynty korupcji | 25 |
| Wspólna korzyść | 25 |
| Negatywny wybór | 26 |
| Potęga korupcji | 27 |
| Podsumowanie | 28 |
| ROZDZIAŁ SZÓSTY | |
| „Handlarze złodem" | 29 |
| Siła przewodnia | 29 |
| Propaganda wyprzedaży | 30 |
| Zgrana władza | 31 |
| Podsumowanie | 32 |

| | |
|-------------------------------------|-----------|
| CZĘŚĆ TRZECIA | |
| PRZEKLEŃSTWO HISTORII | 34 |
| | |
| ROZDZIAŁ SIÓDMY | |
| Zakłamana przeszłość | 35 |
| Zapomniane reformy..... | 35 |
| Ukrywane realia | 36 |
| Utajnione porównanie | 37 |
| Podsumowanie | 38 |
| | |
| ROZDZIAŁ ÓSMY | |
| Niemieckie nieporządki | 39 |
| Spreparowane umysły | 39 |
| Wyłudzenie gospodarki | 40 |
| Podlejszy koniec | 41 |
| Podsumowanie | 42 |
| | |
| ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY | |
| Utrwalone nierówności | 44 |
| Dwuznaczny rozłam | 44 |
| Kolejne cofnięcia | 45 |
| Uścisk globalizacji | 46 |
| Podsumowanie | 47 |
| | |
| Posłowie | 48 |
| Alternatywa liberalna | 48 |
| Wybryk rewolucji | 51 |
| Wyjście awaryjne | 53 |
| | |
| Załączniki | 56 |
| | |
| Literatura | 60 |